

TREŚĆ: ZYGMUNT SZWEJKOWSKI: „Pan Tadeusz” jako poemat humorystyczny * WLADYSŁAW SEBYLA: „Wolność tragiczna” * WINCENTY LUTOSŁAWSKI: Dziwna niespodzianka * STEFAN GOLEBIEWSKI: Z Siedmiu Wysp *



A. UZIEMBLO: Wstrząsająca księżka * J. E. SKIWSKI: Z lektury wakacyjnej * EWA KORZENIEWSKA, JERZY MARLICZ: Powieść * MIECZYSLAW CHOYNOWSKI, L. P.: Wydawnictwa periodyczne * CZ. ZGORZELSKI: Sprawy rosyjskie * W. BAK: Przegląd prasy.

„PAN TADEUSZ” JAKO POEMAT HUMORYSTYCZNY

(S Z K I C)

Powstanie *Pana Tadeusza* — to jedno z najbardziej zdumiewających zjawisk artystycznych w literaturze świata. Do dziś dnia, mimo tak licznych prac, poświęconych genezie utworu, jest ona właściwie tajemnicą, i bodaj na długo jeszcze tajemnicą geniusza Mickiewicza pozostać ten niesłychany fakt, że już w pół roku po ukonczeniu III-ej części *Dziadów* poeta przystępuje do pisania pierwszych ksiąg *Pana Tadeusza*, a w tymże czasie jeszcze powstają *Księgi Narodu*, *Księgi Pielgrzymstwa Polskiego*, no i cały rozległy plan działalności poety w Paryżu.

Dziady i Pan Tadeusz...

Cóż za ogromna różnica! Dwie zupełnie odrębne postawy wobec życia i świata, dwie zupełnie inne dynamiki twórcze, dwa różniące się zasadniczo od siebie style i kompozycje. Tam misterium religijno-mistyczne o najpotężniejszych wybuchach duszy ludzkiej, o niesłychanej skali kontrastów psychicznych i ideowych, świat kosmosu i nieskończoności, krańcowa metafizyka, walka na śmierć i życie ze wszystkimi wroгами; tu — świat przeczucia, snów, wizji — a tu jedno tylko: prostota, jako wyraz zarówno najwyższej mądrości życiowej jak i najwyższego artystycznego.

Pół roku!

W studiach nad *Panem Tadeuszem* zaznaczyły się dwie koncepcje, zmierzające do wyświetlenia tajemnicy — i jedna i druga ma za sobą poważne argumenty, ale żadna nie zadowala.

Pierwsza łączy powstanie *Pana Tadeusza* z zawodem poety, którego doznał po przybyciu do Paryża: runęła wówczas wiara w potężną misję Konradową, zmierzającą do przebudowy nie tylko Polski lecz świata. Mickiewicz, natknąwszy się na nieprzezwyciężone przeszkody, cofnął się w przeszłość, w kraj lat dziecinnych, a swój ówczesny stosunek do życia wypowiedział wyraźnie w niedrukowanym epilogu do *Pana Tadeusza*.

Dowody ważkie — tym bardziej, że charakteru wspomnianego poematu nikt zagregować nie może, a nuta tęsknoty w utworze tkwi bardzo głęboko.

Ale zaznaczyć trzeba z naciskiem, że ta atmosfera nie wyczerpuje całości utworu. *Pan Tadeusz* nie jest dziełem człowieka, który zwątpił o życiu, zwątpił o swym powołaniu poetyckim, człowieka rozdartego wewnętrznie, nad którym zawisł ponury cień tragicznej katastrofy osobistej, narodowej i ogólnoludzkiej. Wyczuwamy w poemacie uderzającą tężyźnię życia, krzepiącą wiarę, tony wzniosłej radości i chwile prawie niczym niezamąconej pogody.

Na tej podstawie oparła się druga koncepcja genezy *Pana Tadeusza*: nie jest to utwór, pisany jakby w chwili wycofania się z życia i zwątpienia, lecz przeciwnie — w epoce wzmoczenia intensywności twórczej; jest też poemat kontynuacją całej ideologii *Dziadów*, *Ksiąg Narodu* i *Ksiąg Pielgrzymstwa Polskiego*.

I ta koncepcja ma również poważne argumenty: zbieżności wspomnianych utworów z *Panem Tadeuszem* zdają się ulegać wątpliwości, a artykuły publicystyczne Mickiewicza na emigracji jeszcze to wrażenie potęgują.

Ale znów przyjęcie tych założeń zmusza w następstwie do twierdzenia, że świat *Pana Tadeusza* jest kreowany według wymagań ideowej walki, że postawa poety wobec życia niewiele się różni od stanowiska w *Dziadach* czy *Księgach*, że wobec tego poemat łączony jest z propagandą hasel, wprawdzie najwznieślięj pojętą, ale propagandą. Tymczasem lektura *Pana Tadeusza*

mówi o czym innym: propagandy nie ma w utworze, a walka o idee, satyra czy tendencja są poematowi najzwyklejszą obcą.

Tajemnica więc pozostaje — ale nie tylko w tym ona tkwi. *Pan Tadeusz* — utwór tak harmonijnych kształtów, tak konsekwentnej budowy, tak proporcjonalnego rozłożenia momentów statycznych i dynamicznych, nie jest hynajmniej dziełem opracowanym z góry! To było powszechnie wiadomo. Ale dopiero studium Pigionia (*Pan Tadeusz. Wzrost — Wielkość — Ślawo*, Warszawa 1934) dowodnie wykazało, że fale rozrostu poematu nie były rezultatem refleksji, świadomego opracowywania całości, lecz pojawiały się spontanicznie w czasie pisania. Tkwi więc w genezie *Pana Tadeusza* jakaś zawiolowa siła, która pchała poetę coraz dalej, dając mu wyjątkową radość tworzenia.

Z pracy Pigionia dowiadujemy się, że nie tylko kompozycja *Pana Tadeusza* ulegała zmianom ale i chronologia. Zwracam uwagę na ten fakt, gdyż wydaje się on bardzo ważny. Początkowo akcja poematu miała się rozgrywać po r. 1620, czyli za młodość Tadeusza była zrównana z młodością Mickiewicza. Znaczy to więc, że zrazu wkład liryczny w utworze był o wiele silniejszy — później coraz wyraźniej, z taką samą siłą samorzutną, zczął zwyciężać epik, aż wreszcie zwyciężył całkowicie. Liryk oddał mu swą krew, bezpośredniość i żywość; świat, wchłaniany kiedyś subiektywnie, teraz w całej pełni, okazałości, blasku i sile objawił się poza poetą. Jest to niesłychany, niezmiernie rzadki w swej czystości triumf artystyczny.

Można śmiało powiedzieć, że jakkolwiek wiele postaci zawiera czałki jakby — ani jedna, i to w żadnym momencie, nie zastępuje Mickiewicza: jest od początku do końca sobą.

Wiemy na przykład, że zrazu miłość Tadeusza do Zosi miała być jeszcze jednym wcieleniem miłości Mickiewicza do Maryli. Czy jednak, czytając utwór, mamy choć raz przeświadczenie, że za Tadeuszem kryje się poeta? Tadeusz to nie figurant — ma on swe oblicze, właściwe dla środowiska. Mickiewicz akcentuje silnie, że był to prostak, o skromnej inteligencji, niezbyt bogatym życiu wewnętrznym, zdolny głównie do ekspansji na zewnątrz. I miłość jego do Zosi jest prosta, jemu właściwa, ale że jednocześnie tak tętni życiem, to dlatego, że nie jest tylko kreacją literacką. — To samo jest ze stosunkiem Tadeusza do przyrody: Mickiewicz łączy się ze swym bohaterem w apoteozie jej piękna, ale przeciwstawienie, które Tadeusz daje, przyrody Litwy z przyrodą południa, jest Tadeusza, nie zaś Mickiewicza. Tadeusz, który przyrodę włoską widział tylko w botanicznym wileńskim ogrodzie, mógł ją tak scharakteryzować, nie zaś poeta, autor *Sonetów krymskich*, poeta, który dwa czy trzy lata przedtem, parafrazując Goethego, pisał:

Znaszli ten kraj
Gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz błask
Majowe złoci drzewa?
Gdzie wieńcem bluszc
Ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi?
Znaszli ten kraj?...
— Ach, tam, o moja miła!
Tam był mi raj...

A Jacek? Mimo że przemiana jego na Robaka jest najsilniejszym, najgłębszym procesem, który przeżywał sam Mickiewicz, czy można powiedzieć, że poeta choć raz w tej kreacji wyszedł poza świat szlachty?

Jacek jest niewątpliwie wyższy od otoczenia, ale dlatego, że bardzo intensywnie skupia on w sobie cechy właściwe dla środowiska, lub możliwości, które szlachta miała w sobie, i ani jako Jacek, ani jako Robak nie a nie Mickiewicz nie przypomina.

Przykładów można wskazać więcej — wszystkie świadczą o klasycznym triumfie epika.

Oczywiście, nie znaczy to, by *Pan Tadeusz* był wogóle subiektywizmem pozbawionym! Subiektywizm jest i tkwi głęboko — inaczej byłoby nie mogło; chodzi tylko o ustalenie: w czym się on wyraził? Otóż, poza dygresjami lirycznymi, będącymi jakby akompaniamentem całości, jakby uwerturami poszczególnych ksiąg czy ustępów, stanowisko Mickiewicza tkwi w *stosunku* do przedstawionego świata. To jest dla nas sedno sprawy i stawiamy w tym zakresie następującą tezę: dla Mickiewicza świat *Pana Tadeusza* nie jest ani ucieczką przed katastrofą życia, ani nie jest pacytycznym, ideowym wzorem dla przyszłości — jest to świat, który on odczuwa *humorystycznie*.

Tylko że humor — to ani dowcip, ani wesołość, ani tak zwany „dobry humor”, to zjawisko (nie mamy tu zamiaru zresztą odkrywać Ameryki!) znacznie rozleglejsze, wchodzące w sferę poglądu na świat.

Tkwi w nim przede wszystkim *bezzinteresowna* aprobata rzeczywistości, która nas otacza, lub którą artysta przedstawia w utworze.

Aprobata bezzinteresowna — gdyż nie chodzi tu, by tę rzeczywistość do czegoś powoływać, by walczyć z nią razem o wspólne idee; uznanie nie wypływa z wiary, że świat przedstawiany idzie za *moją* logiką, lecz że kroczy on swoją własną, jemu przynależną, i dlatego jedyną, najsluszniejszą — najsluszniejszą nawet wówczas, gdybyśmy ostatecznego kresu jej odkryć nie mogli.

Taka aprobata ujawnia się w twórczości głównie albo przy postawie naiwnej albo humorystycznej.

Naiwność wypływa z zachwyty, z oświecenia, z bezpośredniego odczucia majestatu życia, jego wielkości. Największym, zdumiewającym po dziś dzień wcieleniem jej — jest Homer.

Humor zaś wypływa z tej mądrości życiowej, która odczuwa równowagę zjawisk, która dlatego, że się wzniosła nad nie, widzi ich harmonię, widzi rytm fal wznoszenia się i opadania, harmonię dobra i zła, prowadzącą mimo wszystko do pogowiania się całości. W tej fali tkwi piękno i wartość — wartość nie krańcowych, ostatecznych osiągnięć, lecz zespolu zjawisk. Dla humorysty poszczególne zjawiska ma zwykle względną wartość; można na nie patrzeć z tej i z tej strony, obok aprobaty widzieć krytycyzm, obok wielkich perspektyw — ciasne horyzonty, natomiast w tej całości dostrzega się jakiś wielki, jedyny nurt życia, dający krzepiącą otuchę, wywołujący przeświadczenie o rehabilitacji win i zgrzytów, wnoszący jako ostateczny osąd życia wzniosłą pogodę.

Tak właśnie jest w *Pan Tadeuszu*, a stanowisko to w poemacie utrzymane jest od początku do końca i ujawnia się we wszystkich czynnikach utworu.

Weźmy najpierw sferę problematyki utworu. Tu przede wszystkim narzuca się nam zagadnienie czynu narodowego, legiony, Napoleon... Przyjmuje się na ogół, że *Pan Tadeusz* jest utworem, głoszącym kult Napoleona, tego „boga wojny”, o którym mamy wzniosłą apostrofę w I księdze. Z Napoleonem łączą się wszystkie nadzieje wyzwolenia kraju, łączy się organizowanie

powstania — a więc czyn Robaka. Zdawałoby się, że tu nie ma żadnego wahania się, żadnej dwoistości czy względności!

Ale w takim razie, cóż znaczą słowa Maćka nad Maćkami, wyrzeczony w chwili najbardziej odświętnej, radosnej, wobec zgromadzonej szlachty, generałów, legionistów? Dąbrowski proponuje, by Maciej wypił „zdrowie Napoleona i Polski nadzieje”:

„Ha! rzekł Maciej, slyszalem, widzę, co się dzieje!
Ale, Panie, dwóch orłów razem się nie gnieździ!
Laska pańska, Hetmanie, na pstrym koniu jeździ!
Cesarz wielki bohater, gadać o tem wiele!
Pamiętam, że Pulaścy, moi przyjaciele,
Mawiali, poglądając na Dymuriera,
Ze dla Polski polskiego trzeba bohatera,
Nie Francuza, ani też Włocha, ale Piasta,
Jana albo Józefa, lub Maćka — i basta!
Wojsko! mówią, że polskie! lecz te fizyliery,
Sapery, grenadiery i kanonijery!
Więcej slychać niemieckich tytułów w tym tłumie
Niżeli narodowych! Kto to już zrozumie!
A muszą też być z wami Turki i Tatarsy
Czy szumatyki, co ni Boga ani wiary?
Sam widziałem kobiety w wioskach napastuj.
Przechodniów odzierają, kościół rabują!
Cesarz idzie do Moskwy! daleka to droga,
Jeśli Cesarz Jegomość wybrał się bez Boga!
Slyszalem, że już podpadł pod klątwy biskupiej;
Wszystko to jest...” Tu Maciej chleb umoczył
I jedząc nie dokończył ostatniego słowa!”

Słowa te — jeśli odrzucimy naiwną stylizację — są bardzo wymowne! I czy to tylko dziwactwo Maćka? Maćka, zwanego Zabokiem, który, wbrew wszystkim pozorom, rwał się do czynu orężnego? Czy można mu zarzucić kłamstwo, gdy mówi o legionistach:

„Sam widziałem, kobiety w wioskach napastuj,
Przechodniów odzierają, kościół rabują!”

A nie zapominajmy też — jeśli chodzi o wyprawę na Moskwę — że Maciek przewidział dobrze przyszłość. Katastrofy oczywiście Mickiewicz nie pokazał — to zmieniło by humor na tragizm — ale zjawisko oświećlił z dwóch stron. Słowa Maćka nie niweczą hynajmniej wartości czynu legionów, bo gdyby go nie było, społeczeństwo nie okazałoby zdolności do życia, ale zmieniają rytm utworu, jego perspektywę: nuta krytycyzmu pojawia się jako wyraz świadomości narodu, który nie jest ślepy.

Inny przykład: zagadnienie religijności szlachty jako moralnej dźwigni życia epolecznego. Pod tym względem dopatruje się krytyka najsilniejszych łączności pomiędzy *Panem Tadeuszem* i *Księgami Pielgrzymstwa Polskiego*, a jako wyraz poglądów Mickiewicza cytuje się słowa Wojskiego z XII księgi, kiedy to staruszek Hreczecha mówi o roli księdza podczas sejmików szlacheckich: gdy tylko przeor wyniósł z ołtarza Sanctissimum, wzburchona szlachta „szablę chowa. żegna się i kłęką”, następuje spokój i zgoda.

„Ach! wy nie pamiętacie tego Państwo młodzi!
Jak wśród naszej burzliwej szlachty samowładnej,
Zbrójnej, nie trzeba było policzyć żadnej,
Dopoki wiara kwitła, szanowano prawa,
Była wolność z porządkiem i z dostatkim
Sława!”

Otóż trzeba stwierdzić, że w całej akcji *Pana Tadeusza* nie wykazał tego Mickiewicz, aby wiara szlachty była *powszechną* siłą, kształtującą życie społeczne, by dzięki niej szlachta „szanowała prawa”, by dzięki niej istniała w Polsce „wolność z porządkiem”. A więc może tak było dawniej, za młodości Wojskiego? Ba, ale przecież znamy dwóch rówieśników Wojskiego, a wśród nich znajduje się Gerwazy — groźny, bezwzględny.

zaciekle i mściwy warchol! Dla atmosfery *Pana Tadeusza*, dla możliwości religijnych szlachty, wystarczy zupełnie, gdy uświadomimy sobie, że w środowisku tym obok Gerwazego istnieje Robak! Słowa Wojskiego wyrażają tylko jego subiektywny pogląd — nie zaś Mickiewicza. Mamy tu taką samą sytuację, jak w przemówieniu Sędziego o grzeszności. Sędzia ma część racji — co zresztą nie wyłącza faktu, że zaraz Podkomorzy odpowiada mu: „Mój Sędzio, dawniej było jeszcze gorzej!” i też bardzo ważkie argumenty mu przytoczy. Podkomorzy — który przecież góruje nad ogółem szlachty kulturą i inteligencją. A proszę zauważyć, że ten sam Podkomorzy odzywa się bezpośrednio po słowach Wojskiego:

„Wtem dzwoniąc w tabakierę, rzekł pan Podkomorzy:
„Panie Wojski, niech Wasze napotem odłożą
Te historyje: prawda, że sejmik ciekawy,
Ale my głodni, każ Wac przynosić potrawy”.

Gdyby Mickiewicz chciał zadokumentować stanowisko Wojskiego — nigdy by nie dał takiego zakończenia, ono nie mogło leżeć w intencjach moralisty, ale jest bardzo znamienne dla humorystycznego widzenia życia.

Druga dziedzina — to zjawiska w zakresie psychologii postaci. Tutaj przede wszystkim staje przed nami Robak. Czy istotnie wygrywany jest on na jednej stronie? Czy rzeczywistość jest on kreacją bliźniaczko podobną do księdza Piotra? Przede wszystkim nie zapominajmy, że Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* nie tylko dał Robaka ale i Jacka, co w utworze ma swoją głęboką wymowę! Wprawdzie i ksiądz Piotr mówi o sobie, że jest „starym grzesznikiem” — ale te słowa są tylko chyła wyrazem głębokiej pokory świętego, który urasta do wielkości symbolu. Jacek-Robak z symbolem nie ma nic wspólnego, nie jest też świętym. To człowiek, który dochodzi do świętości — a to znamienne różnica. Błądzenie, grzech, walka — są udziałem zarówno Jacka jak i Robaka.

Przypomnijmy sobie na przykład scenę w karczmie: Robak z wielkim trudem i niebyłej sprytem przypomniał szlachcie o Napoleonie, legionach, napomknął wreszcie o konieczności organizacji powstania: „potrzeba dom oczyścić z śmieci”. Słów księdza nikt nie rozumie, proszą o jaśniejsze tłumaczenie. Robak wyjaśnić nie daje:

„Dziś czasu nie mamy;
Potem o t-m obszerniej z sobą pogadamy”.

Szlachta czas ma, ale nie ma go Robak, który właśnie przed chwilą przez okno zobaczył Tadeusza, pędzącego na koniu w cwał, bez kapelusza, „z głową schyloną, bładem, posępem obliczem”. Bernardyn zmieszany się i, zaniepokojony, postanowił udać się za synem. Nad emisariuszem wziął górę ojciec, a to nie ohydo się bez smutnych następstw. Gdyby szlachta dowiedziała się, co znaczy wymieść śmiecie, Gerwazemu nie mógłby dowiedzieć, że śmieciem powiatu jest Soplica!

A dalej: czy stosunek Robaka do dóbr Horeszków jest całkowicie, bez kompromisu zgodny z etyką chrześcijańską, czy nie ma tam ustępstwa na rzeczy ambicji rodowej i sentymentu rodowego? Czy można było wszystko opierać na przyszłych uczuciach Zośi? A gdyby Zośia Tadeusza nie pokochała, to co by było?

Takie i inne pytania nasuwają się kilkakrotnie przy lekturze *Pana Tadeusza*. Mówiono już o nich — tylko że ja nie myślę przez to dyskredytować ani Robaka, ani Mickiewicza. Na tym, właśnie na tym, polega prawda kreacji. Powtarzam, Robak jak i Jacek, jest do końca szlachcicem, do końca człowiekiem. I dlatego jego cierpienie ma taką wymowę i dlatego mniemam, że jednym z najbardziej ludzkich, najbardziej wzruszających momentów powieści Robaka jest fragment o niewygasłej jego miłości do Ewy:

„Tyle lat, gdzie ja nie był! a dotąd nie mogę jej zapamiętać, i zawsze jej postać korhana
Stoi mi przed oczyma jakby malowana!...
Teraz oto w habicie jestem Bożym sługą
Na łożu, we krwi. — O nic mówilem tak długo —
W tej chwili, o tych rzeczach mówić? Bóg
wybaży!”

Obok równania do „ludzkiej” normy postaci wielkich, mamy bardzo znamienne podnoszenie wartości typów umiemych. Jeśli chodzi o Gerwazego czy Protazego — jest to jasne, ale nawet o Telimenie powie Mickiewicz: „w istocie dobre serce miała”. A to nie jest mało! Poza tym poeta jeszcze wprowadza specjalną, groteskową stylizację, która przemówieniem Telimeny i jej zachowaniu odbiera ostrość wyrazu. Powiedzmy np., że opowiadanie jej o Petersburgu jest właściwie wysoce niemoralne — jednak Mickiewicz wydobyla z niego przede wszystkim wesołość. Zupełnie analogiczną sytuację mamy z Buchanem. Jest to postać wysoce komiczna. Prawda, mówi on: „Jeśli zdrzajca... więc na szubienicę!”, ale komizm polega na tym, że nikt go nie słucha, że jego wywód nikt nie rozumie, a on sam nie okazuje najmniejszej zdolności do czynu!

(Nawiasem zaznaczmy, że jedynie major Plut, ze wszystkich postaci *Pana Tadeusza*, ujęty jest jednostronnie; w stosunku do tego renegata nie mógł Mickiewicz zdobyć się na humor).

To samo zupełnie mamy w traktowaniu mas szlacheckich. Stosunek Mickiewicza do zaścianka streszcza się w dwóch okrzykach, które z jednakową żarliwością głosi i wykonuje szlachta: „Hajże na Soplicę!” i „Hajże na Moskala!”. Mickiewicz przedstawia zaścianek jako pierwotny żywioł: szlachta potrafi niszczyć z siłą żywiołu, ale ma jednocześnie tworczą jego potęgę.

Humorystyczny stosunek do życia poety możemy obserwować także w kompozycji *Pana Tadeusza*.

Przed wszystkim uderza przeciwstawny rozkład ról występujących postaci. Jeśli Mickiewicz wprowadzi pełną prostoty, sielankowości parę: Tadeusz — Zośia, to zaraz obok nich postawi Hrabiego i Telimenę, w których sparodiuje drapowanie się w niezwykłość i świadome (Telimena) lub nieświadome, chwilami ujmujące nawet (Hrabia) komediantwo. Obok Kluczniaka, „groźnego ręką”, stoi Protazy, „groźny językiem”; obok myśliwego w wielkim stylu, jakim jest Wojski — mamy Aesora i Rejenta, karykatury myśliwych i t. d. i t. d. Ale najważniejsze, najistotniejsze i najgłębsze przeciwstawienie (jak to zdaje się wynika z dotychczasowych wywodów) to Robak i Maciek nad Maćkami. W przeciwstawieniu tym tkwią główne pokłady humorystyki *Pana Tadeusza*.

Obok przeciwstawnych ról, bardzo znamienne są przeciwstawne sceny. Nawet cały poemat możemy podzielić na dwie części: pierwsze dziesięć ksiąg i dwie ostatnie. Księga XI i XII dla akcji istotnie potrzebne nie były, jest to właściwy epilog, który koniecznie musiał się pojawić dla równowagi narracji. Dramatyczne, nie pozbawione bolesnych zgrzytów akordy księgi VIII, IX i X musiały znaleźć rekompensatę we wzniósłym patosie i głębokiej pogodzie ksiąg końcowych. Jeśli chodzi o poszczególne sceny, to w poemacie jest ich mnóstwo, wypełniony jest nimi cały utwór. Zwróćmy uwagę na jedną z nich, nie najbardziej typową, ale niezmiernie charakterystyczną. Myślę o momencie końcowym poematu. Atmosfera coraz bardziej podniosła — szlachta, w rytmie poloneza, przy zachodzącym wiosennym słońcu przecheże po raz ostatni przed naszymi oczyma. Zduje się, że tu już nie powinno zamieć tonu jednolitego. Gdzie tam! Na 80 wierszy, w których mamy opis poloneza — 18, a więc niemal czwarta część poświęcona jest — komu? Przypomnijmy sobie:

„Tylko kapral Dobrzyński Sak ani kapeli
Nie słucha, ani tańczy, ani się weseli,
Ręce w tył założywszy, stoi zły, ponury,
Wspomina swe dawniejsze do Zośi konkury...“
i t. d.

Skąd Sak? ta postać tak mało znacząca w poemacie? po co? Właśnie w tym momencie może trzeba zapytać: „Czy instrument niestronny? czy się muzyk myli?...” Ale ta kropelka goryczy, goryczy prawie bezimiennego, dla humorysty ma zasadnicze znaczenie: ona nie mąci zupełnie nastroju — ale waży, przesuwając się jak delikatny cień nad całością.

Jeśli chodzi o kompozycję *Pana Tadeusza*, należy jeszcze wspomnieć o akcji utworu. Jak wiadomo, Mickiewicz oparł ją na typie akcji romansów Scotta — a uczynił to dlatego, że ten typ najlepiej odpowiadał odczuciom przeszłości przez poetę. Stąd ten charakterystyczny fakt, że w *Panu Tadeuszu* nie czujemy zupełnie obcości: ramy Scotta są świetnie przekomponowane, zgodnie z tradycją polską i ze światem polskim. Ani jeden wątek, ani jeden motyw, ani jedna postać nie są wyrazem konieczności naginania się poety do pewnego schematu literackiego, lecz powstają zgodnie z jego własną logiką artystyczną. Można pójść jeszcze dalej i powiedzieć, że Mickiewicz zupełnie samodzielnie wypełnił wszystkie wartościowe pozycje, które tkwiły w typie akcji scottowskiej, wszystkie — nawet te, których sam Scott nie wypełnił. U twórcy *Waverleya* znajdujemy zawsze dużo szablonu, który Scott wprowadza pod wpływem mody literackiej z okresu młodocianego romantyzmu. Mickiewicz to doskonale czuje, ale jednocześnie rozumie, że owe szablony, zaczerpnięte z techniki romansu heroicznego-miłosnego, sensorycznego, czy sentymentalnego, są charakterystyczne dla epoki, która się w nich lubowała. Nie może ich przyjąć całkowicie, ale nie chce również pomijać. Pokazuje więc je poprzez pryzmat psychiki Hrabiego, który właśnie tęskni do tego, aby życie na Litwie nie szło zgodnie z własną logiką lecz z logiką „romansową”.

Hrabia żałuje, że opowiadanie Gerwazego nie odchyliło się nocą:

„Udrapowany płaszczem, siedłbym na ruinach,
A ty byś mi o krwawych rozpowiadał czynach”.

Hrabia żałuje:

„że ten Soplica stary nie ma żony!
Lub corki pięknej, której ubóstwiamy wdzięki,
Kochając i nie mogąc otrzymać jej ręki;
Nowa by się w powieści zrobiła zawilść:
Tu serce, tam powinność! tu zemsta, tam miłość!”

Hrabia tylko zapytuje Zośię:

„Bóstwem jesteś czy nimfą, duchem czy widzeniem!”

i wyobraża sobie, że jakiś „wzgardzony miłośnik” uwieził ją w „parku zamkowym”.

I tak dalej, i tak dalej. A takie zestawienie stałe rzeczywistości z fikcją romansową jest również jednym z wyrazów humorystyki Mickiewicza.

Analizując dalej *Pana Tadeusza*, można także wykazać humorystyczny stosunek poety do szczegółów życia obyczajowego na Litwie, do przyrody, wreszcie nawet do samego siebie. Humor jest utrzymany w całym utworze.

A warto sobie uświadomić, że jest to zjawisko w literaturze niezmiernie rzadkie. Bo co innego pierwiastki humorystyczne w utworze, a co innego humorystyczny stosunek do życia, ujawniający się w całokształcie artystycznych przejawów. Wymienia się Dickensa, ale niemal wszystkie jego powieści zawierają pierwiastki tendencyjne — a więc stosunek do życia nie jest całkowicie bezinteresowny! Jeśli chodzi o Prusa, to ani jedna z większych jego koncepcji powieściowych nie jest całkowicie utrzymana na stanowisku humorystycznym: pierwiastek walki, propaganda idei często ten ton usuwa w cień; Prus pełnym humorystą jest tylko w niektórych nowelach. Z całej literatury przypominają mi się tylko dwa nazwiska: Szekspir (w niektórych komediach) i Cervantes.

„WOLNOŚĆ TRAGICZNA”

Nowy tom Wierzyńskiego — *Wolność tragiczna*¹ — możnaby uważać za punkt zwrotny w twórczości poety. Nie z uwagi na jakieś gruntowne zmiany w wyrazie poetyckim. Styl wypowiedzi poetyckiej Wierzyńskiego raczej jakby ustąpił się w nowym tomiu. Może przybyło mu trochę nowych cech w wyrazie uczuciowym, cech zblizających go do stylu *Karmazynowego poematu* Lechońia, lecz naogół zasób środków wyrazu, zasób chwytów poetyckich Wierzyńskiego niewiele się zmienił. Możliwe nawet szczegółowo wykazać przewagę pewnych chwytów w twórczości poety, chwytów znaczących swoistym piętnem jego styl, jak n. p. ulubionej przez autora formy apostroficznej *imperativu*, występującego zawsze przy większym natężeniu patosu. Sztuka Wierzyńskiego w tym zbiorze jednak jakby się odnowiła, nabrała świeżości; chłodny artystowski patos wyrazu znalazł rację swego istnienia, wyższe usprawiedliwienie swych celów.

Bo cokolwiek sądziłbyśmy o twórczości Wierzyńskiego, poza rozluhanego, patetycznego witalisty była decydującym składnikiem jego natury poetyckiej, oczywiście poza w szlachetnym znaczeniu tego słowa: talent znakomitego poety gwarantował, że nie nabierała ona nigdy cech kabotyzmu. Właściwie, podnoszona powszechnie postawa *afirmacji życia* była u Wierzyńskiego już tylko pozą. Droga, jaką przeżył poeta, była drogą kostnienia tej oryginalnej jeszcze w *Wiosnie i wiośnie*, we *Wróblach na duchu* postawy w pozę *Lauru Olimpijskiego*, wielu wierszy z *Rozmowy z puszczą* i większości z *Gorzkiego urodzaju*. Kostnienie polegało u Wierzyńskiego na tym, że rosło nasilenie ekspresji poetyckiej, potężniały środki tej ekspresji, a zawartość myślowa i wzruszeniowa jego poezji nie wskazywała, aby dokonało się pogłębienie stanowiska wobec rzeczywistości, aby jakieś nowe, świeże ustosunkowania do rzeczywistości znalazły odbicie w tej poezji. Wyrazem poży u Wierzyńskiego była ekspresja patosu, brzmienie szlachetnym, lecz już cokolwiek przesadnym tonem w *Laurze Olimpijskim*, i rosnącego w miarę rozwoju poety aż do ogłuszającego, bombastycznego huku kosmicznych przenosi w wielu wierszach *Rozmowy z puszczą* i większości *Gorzkiego urodzaju*. Gromkie afirmowanie życia stawało się maską, nalożoną i noszoną dobrowolnie. W *Gorzkim urodzaju* dawała się wyraźnie odczuć tragiczna walka wewnętrzna z namiętnością pożądaną, jednak maska była silniejsza, stawała się już jakby drugą naturą poety i nawet w wierszach poruszających najistotniejsze zagadnienia twórczości dominował ton przesadnego patosu. Wrażliwość ludzka ma tę właściwość, że po krótkim już czasie osuwamy się z hukiem i przestajemy reagować na bodźce coraz silniejsze, podczas gdy subtelny a prosty ton rozlegający się w ciszy działa na nas przejmująco. Tak bywało z reakcją na wiele wierszy Wierzyńskiego: przestawały działać pięknie, ale wysrubowane nieraz w patosie

W zakresie epiki historycznej widzę tylko jednego Mickiewicza.

Nazwałem w tytule *Pana Tadeusza* poematem. Określenie, iż utwór Mickiewicza jest epopoją, było kwestionowane i właściwie słusznie. Bo jeśli przyjąć uznane definicje epopei, to *Pan Tadeusz* nie spełnia jednego z zasadniczych warunków dla tego rodzaju literackiego, t. j. brak mu wierzeń mityczno-religijnych, z którymi ściśle związana jest akcja ziemiska.

Tylko pytanie, czy taka epopoja właściwa jest dziś możliwa do stworzenia? Sądząc z doświadczenia dotychczasowego, należy odpowiedzieć, że nie. Naiwność Homera jest bodaj zjawiskiem niepowrotnym: wszyscy naśladowcy autora *Iliady* od Wirgiliusza do Tomaszewskiego *udawali* naiwnych i dlatego w większej lub mniejszej mierze przegrzywali. Wartość epopei spadała coraz niżej: postawienie obok Wirgiliusza Tomaszewskiego uczyniłem zupełnie celowo! Ale oto zamiast naiwności w epice historycznej pojawił się jako siła równorzędna — humor. Pod tym względem *Pan Tadeusz* spełnia zadanie epokowe.

Mniejsza zresztą o nazwę — dość, że w *Panu Tadeuszu* mamy dzieło wielkiej miary. Powstało ono — jak zaznaczyliśmy — w psychice twórcy z siłą żywiołową, a dodajmy, że było czynem dla niego samego niepowrotnym i jedynym. Mickiewicz bowiem żałował później, że nie podniósł utworu swego o pół tonu wyżej. Mylił się — wziął bowiem w *Panu Tadeuszu* ton najwłaściwszy, któremu na imię: humor.

ZYGMUNT SZWEJKOWSKI

przenosić, bo było ich za dużo. Przygniecenie, olśnienie paradą przenosi, nie mogliśmy znaleźć drogi do źródła wzruszenia poetyckiego, nie mogliśmy znaleźć stanowiska, które by nas trwałe i ściśle z dziełem poety związało.

Nieco inaczej ma się rzecz z *Wolnością tragiczną*. W *Wolności tragicznej* wypowiedział się już nie poeta wirtuoz, nie błyszczyący formą artysta, lecz twórca, usiłujący odłonić tajemnicę dziejów, próbujący celnym słowem trafić w sens zdarzeń, faktów, czynów, próbujący w pieśń zakląć miniony czas, nowy mit przekazać potomności.

Wolność tragiczna, choć składa się z szeregu wierszy, niektórych nawet powstałych dawniej, jest poematem. Spoiwem kompozycyjnym tej „godziny myśli” dziejowej jest zarówno osoba bohatera, jak i forma wyrazu w postaci monologu wewnętrznego. (Do jednolitości wrażeń przyczynia się i metrum, przeważnie trzynastozgłoskowe). W syntetycznym poetyckim skrócie przetacza się przed nami godzina dziejów, a we wnętrzu tej chmury epickiej klebią się i błyskają siły i moce, co ją w ruch wprawia, wstają zjawy przeszłości, widma groźne i bohaterskie, słabości i upadki, zapalają się wizje już dawnej w sztuce przedstawiane, wstają i giną echa pieśni i sporów. Specyficzny dają efekt uczuciowy, własną mają wymowę bogate motywy cytatów, aluzji literackich, poetyckich aluzji do dzieł malarskich. Ta instrumentacja skojarzeń, celną metaforą uderzających naszą wrażliwość, jest chyba najbardziej charakterystyczną cechą *Wolności tragicznej*.

I tak zaraz w pierwszym wierszu — *Klechda* — roztacza się „skrzydło wojny” grottgerowskich cyklów — rok 1863:

Coraz ciemniej zapada nocny krzyk z gałęzi
I język coraz szerzej wywala się z gardła,
Już poczerśniała ziemia przez sen tylko rzezi...

A ponad światem — zjawy. Zadzwieczało strzemię,
Tabun przeleciał niebem, zadudnił w obłoku,
Gniewnym galopem pognął i okrążył ziemię,
W charpach ma wiatr huczący, lunę kopyt w skoku,
Zatacza koła ogniem, wije wielki wieniec
Nad ciemnością, nad sztywną paradą szubienic
I wyjeżdża co noc wypatrywać z góry
Broni złożonej w kozły i w dole ogniska —
„Kto? Pułk wojska czy klechda? koń w zbroi
czy chmury?”
Po lasach szumią grotty. Nikt nie widział z bliska.

A potem w wielu miejscach odczuwają się echa pieśni wojennych: czy to „wojenko, wojenko, cóżes ty za pani?” — czy rytmy *Warszawianki* w sformułowaniach takich jak „kto zbudził się tej nocy, ten zbudził się wolny”, lub „Oto ciężki strudzony dziś dzień krwi i chwały przetacza się na zachód” — czy *Rozmaryn* w słowach „piosenki ukraińskiej”:

Śmierć ich upiesciła, śmierć ich całowała,
hej, hej, komendancie, ale nie ty.

Aluzje ze Słowackiego, Wyspiańskiego, Żeromskiego, czy nawet z pisarzy współczesnych, jak ta:

¹ KAZIMIERZ WIERZYŃSKI: *Wolność tragiczna*. Lwów—Warszawa 1936. Książnica-Atlas.

Na nic wasz psalm i wasz cud cudów.
Cham dągnął Kordiana. Już się stało!

nietrudne są do ustalenia, ale ich działanie uczuciowe w tekście wiersza bywa niezawodne. Podnoszą one sprawy, które w innych warunkach mogłyby nabrać posmaku tendencyjności, w wymiar historii i poezji. Dla syntezy heroicznej postaci znalazł Wierzyński miary słowa na poziomie wielkości. Szczera żarliwość poetycka i uczucia z gatunku tych, co powodowały naszą poezję romantyczną, przyczyniły się do powstania szeregu fragmentów o niezwyklej sile wyrazu. Takie wiersze jak *Ojczyzna chochołów, Belweder, Wyrok pośmiertny* — to chyba wogóle najlepsze utwory Wierzyńskiego. Ożywają przed nami tradycje romantycznej, wieszszej poezji, lecz to nie sam poeta-autor przemawia w tych wierszach do sumienia narodu. Wierzyński rozumiał, że autorytet jego własnej dotychczasowej twórczości nie może go upoważnić do drapowania się w toż samą przewodniczą i nauczycielską poetyckiego narodu. Dlatego też wierszami jego rządzi duch tego, kto na tory poezji patriotycznej skierował natchnienie poety, dlatego niejednokrot-

nie padają słowa i wyrażenia, które słysze- liśmy z ust Marszałka Piłsudskiego. W nieo- sobistej formie wyrazu znalazł poeta siłę i prawo do uderzania w tak wysokie tony jak słowa *Wyroku pośmiertnego*:

Pobladała noc doczesna. Widzę was na przestrzał,
Jak małość wam obłądzi czaszkę robaczywą,
Bledną pola bitewne, gdzie z konia obwieszczal
Wolność i dumę waszą, i powiewał grzywą...
...Zołnierze! Widzę trud wasz, polbici i krwawi,
Widzę, kto zdradzi pierwszy, ostatni kto padnie...
...Siałem wiatry śmiertelne. Jestem czło-
wiecek. Lecę na niej, świat niosę i żyję bezdomnie.
Mój mit kurzwawę wzbija...

i w zakończeniu: „Skazuję was na wielkość.
Bez niej zewsząd zguba“.

Obok wierszy Illakowiczówny, których charakter jest jednak inny, nieraz bardziej przejmujący przez szczerość i prostotę wy-
razu uczuciowego, podczas gdy patosem
Wierzyńskiego kieruje raczej intelekt i chłod-
na maestia, *Wolność tragiczna* jest najlep-
szym zbiorem wierszy poświęconych Marszał-
kowi Piłsudskiemu.

WŁADYŚLAW SEBYŁA

DZIWNA NIESPODZIANKA

Taki mniej więcej tytuł ma ostatnia po-
wieść uzdolnionego Rosjanina, piszącego po
angielsku, Mikołaja Gubskiego. Zatyłował ją:
Surprise item, czyli niespodziane zdarze-
nie, ale ponadto jest ona w stosunku do po-
przednich niespodzianką dla czytelników,
gdyż okazuje nieoczekiwane sympatie, a na-
wet cześć dla bolszewizmu, i, ze strony tak
bardzo inteligentnego pisarza, dobrze obez-
nanego z ladem życia w Anglii, zdumiewa.
Wprawdzie autor jeszcze w 1920 roku był
wicekonsulem Sowietów w Anglii, ale do-
tychczas nie zdradzał się z uznaniem dla bol-
szewizmu.

Teraz wprowadza na scenę Anglika ze
starej rodziny, wychowanego w Cambridge,
i opowiada, jak on stopniowo oddala się od
swego środowiska i ulega urokowi rzekomej
nowej ery, dla której warto ponieść najcięż-
sze ofiary. Autor nazywa ten ruch wielką
sprawą, i, choć wyraźnie ukazuje nam okru-
cieństwo i nierzetelność przedstawicieli Ros-
ji tak dalece, że w żadnym angielskim czy-
telniku dla nich szacunku nie obudzi, to koń-
czy tym, że jego bohater już tylko w Rosji
znajdzie zaspokojenie swych aspiracji, gdyż
Anglia i jej porządek beznadziejnie mu się
uprzykrzyły.

Słabą stroną argumentacji stanowi oko-
liczność, że ten bohater, choć nosi angielskie
nazwisko, i według zapewnienia autora
ma wychowanie angielskie, stosunki towa-
rzyskie angielskie, jest wewnątrz typowo
nastrojowym Moskalem, różniącym się od
poprzednich bohaterów autora jedynie brakiem
szlachetnej i ofiarnej żony, cierpiącej za błę-
dy męża.

Ronald stanowi nowe wcielenie Goringa
z *Its silly face*, i Lermonta z *Matheus pas-
sion*. Jest to człowiek słaby, kapryśny, szu-
kający nadzwyczajnych wrażeń i lekceważący
swoje otoczenie. Zapala się do coraz to
innych celów, i nie ma w życiu nic stałego.
Zeni się z kobietą, o którą długo się starał
i która mu trzy razy odmawiała swej ręki,
zanim go przyjęła. Przez jej wuja, magnata
przemysłu, otrzymuje dobre stanowisko
i wchodzi od razu w liczne stosunki towarzy-
skie swej żony. Prowadzą dom gościnny, i
przez kilka lat Ronald jest zupełnie zadowo-
lony z życia.

Starszy od niego przyjaciel, Matt Ler-
mont, powieściopisarz, bohater poprzedniej
powieści Gubskiego, grozi mu, że zostanie
człowiekiem przeciętnym i pospolitym (*Mass-
man*), jeśli nie wyrobi w sobie samodzielnej
osobowości. To nasienie wątpliwości wydaje
nieoczekiwany plan. Niezadowolony z wy-
godnego i szczęśliwego życia zaczyna kielko-
wać, i powoli Ronald zaniedbuje towarzyskie
stosunki, przestaje uczęszczać do teatru lub
do zebrania towarzyskiej i odczuwa pogardę
do znajomych za to, że są wszyscy do siebie
podobni i zawsze ci sami, zadowoleni z siebie
i z życia. Ma pretensję do żony, że mu spo-
wszedniała i nie daje mu co dzień nowych
wzruszeń. Odmawia jej inteligencji i dobroci
i zarzuca pospolitost, bo w ciągłym swym
ruchu towarzyskim jest zanadto podobna do
wszystkich innych kobiet swej sfery.

Sam pogrąża się w czytaniu lichych po-
wieści o zbrodniach i detektywach, które mu
dają pożądane wzruszenia.

Przyjaciela swego, inżyniera Dereka, za-
chęca, by go zastępował przy żonie i towa-
rzyzył jej do teatru, na koncerty i w wy-
cieczkach. Gdy odkrywa, że ci dwoje się po-
kochali, ułatwia rozwód, udając niewierność,
której nie popełnił. Naraził się wpływowemu
wujowi i traci dobre stanowisko. Gra na
gieldzie i przegrywa. Wybiera się na pieszą
wycieczkę w Pireneje i odtąd czas głównie
poświęca wycieczkom.

Na jednej z nich spotyka komunistę, Ha-
rolda Harlocka, z którym weszyna rozmowę
na temat potrzebnej reformy społeczeństwa.
Harlock wywiera na Ronalda wielkie wraże-
nie i ze swej strony zwalcza starego człowie-
ka nieco inaczej niż Lermont, ale z tym sa-
mym skutkiem. Ośmiesza patriotyzm, moral-
ność, religię, i zaleca wolność bezwzględnej
jednostki aż do zbrodni. Gdy się żegnają w
przyrodnej karczmie, Harlock nie podaje
swego adresu. Ronald szuka go z początku
napróżno, ale wkrótce spotyka przypadkiem
u dentysty, i od tego czasu ich stosunki się
zacieśniają. Ronald podejmuje się bezinteres-
ownie pracy w biurze Harlocka, które jest
napozór agencją literacką, a w rzeczywisto-
ści ośrodkiem literatury komunistycznej.

Ronald uczy się rosyjskiego języka, mie-
szka w rosyjskiej rodzinie, kiedyś zamożnej,
a po emigracji przymusowej z Rosji utrzy-
mującej się w Londynie z wynajmowania po-
koi i szycia. Życie tej rodziny autor opisuje
z wielką sympatią, i widzimy, jak jego boha-
ter ulega urokowi rosyjskiego ducha, szcze-
gólniej odkąd poznał Ruth, o której nie wie,
że była żoną jednego z najczynnějších agi-
tatorów bolszewickich, Schorra, i uciekla od
niego z Rosji. Ona żyła wśród bolszewików
dwa lata i wychwała Ronaldowi ich rzad-
ność. Dla niej nie ma innego kraju równie cud-
ownego, jak bolszewicka Rosja. Tam tylko się
żyje naprawdę, bo nikt nie myśli o sobie,
tylko wszyscy dążą do wielkiego celu. Zawią-
zuje się wielka przyjaźń między Ronaldem
a Ruth, Ronald odwiedza ją prawie codziennie
i wkrótce zostaje jej kochankiem.

Ronald poddaje się jej wpływowi i zosta-
je coraz to więcej wtajemniczony przez Har-
locka w działalność komunistów. Oboje up-
ewniają Ronaldę, że komunizm nieuchronnie
w całej Europie musi zapanować. Ruth
opowiada o swym pożyciu w Rosji z mężem
bolszewikiem, który nigdy nie dzielił się z
nią żadną wiadomością, dotyczącą swej pra-
cy i zadań, tylko czasem zniknął bez uprze-
dzenia na czas nieokreślony, i potem zjawiał
się, nie zdając wcale sprawy z tego, gdzie się
podziewał. Gdy brat jego został uwieziony
i zagrożony karą śmierci za informacje ud-
zielane zagranicy, Ruth i żona tego brata
napróżno błagały Schorra, by go ocalił. On
zagroził wtedy bratowej, że i ona będzie ska-
zana, jeśli się nie uspokoi, a gdy na jego roz-
kaz poszła do domu, najpokoźniej zapropono-
wał żonie pójście do teatru. Ta nieludzo-
skość i obojętność na los brata obrzyliła Ruth
tak bardzo, że od męża uciekla, lecz nie mo-
gła go zapomnieć i, gdy przybył do Londynu,
od razu się zdecydowała powrócić z nim
do Rosji.

Ronald o tym nie wiedział, lecz podłu-
chał rozmowę Schorra z Harlockiem w biurze,
z której wynikało, że aby zapewnić ta-
jemność bardzo ciemnej i morderczej intry-
gi, chciano zwiabić Ronaldę na bolszewicki
okręt i uwiezić go. Gdy w dodatku przypad-
kiem odkrył, że ten jego szef w organizacji,
Schorr, jest tym samym Andrejem, którego
Ruth kochała, i że chce ją z sobą zabrać do
Rosji, wściekłość ogarnęła Ronaldę, i po wy-
powiedzeniu Schorrowsi swego sądu o bolsze-
wickich sposobach postępowania, będąc z
nim sam na sam w pokoju hotelowym i ma-
jąc pewność, że o jego tam bytności nikt nie
wie i nie dowie się, zabił go prawie mimo
woli i wyszedł z hotelu niepostrzeżenie, jak
niepostrzeżenie przyszedł na wezwanie
Schorra.

Po tym czynie długą nie mógł się uspo-
koić, spędził noc bezsenno i powrócił naza-
jutrz do biura, żeby swoją dalszą współpracę
wypowiedzieć. Ale, widząc przynębnienie
Harlocka z powodu zamordowania Schorra,

o którym ten ostatni dowiedział się z prasy,
Ronald zamiast pomyśleć o ratowaniu od-
rospaczy i możliwego samobójstwa swej uko-
chanej, wyznał Harlockowi swą zbrodnię i
objawił gotowość poniesienia za nią sądowej
odpowiedzialności.

Harlock natomiast go upewnił, że go nie
wyda, gdyż to by zaszkodziło partii, gdyby
sądy się dowiedziały, że morderstwo dokonane
zostało przez komunistę, a nie przez wroga
partii. Harlock tłumaczy Ronaldowi, jak
nadzwyczajnie wielkim człowiekiem był
Schorr, a jak marnym samolubem jest jego
morderca, i namawia go, by pomimo wszyst-
ko pojechał do Rosji i ofiarą służby dla
partii zgładził swoją winę.

Ronald nie obiecuje mu tego, ale żegna-
jąc go, w odpowiedzi na wyrażoną nadzieję,
że powróci, mówi: „być może“, i na tym po-
wieść się kończy.

Powieść ta jest bardzo dobrze napisana
i przy całej obiektywności stanowi obronę
bolszewizmu, choć wcale nie ukrywa cech
odstręczających w działalności bolszewików.
Właściwie zachodni czytelnik będzie sądził
o bolszewizmie według tych przyznanych
cech odstręczających: okrucieństwa, braku
moralności, zaprzeczenia wszelkich praw je-
dnostki, wiodącego do jej niewolnictwa,
kłamstwa i oszukaństwa w najbliższych za-
ufanych stosunkach, — i bolszewizm potępi,
pomimo zachwytu autora dla rzekomo wiel-
kiego celu, czyniącego z tego ruchu sprawę
najważniejszą. Ale autor przenikliwie i traf-
nie objaśnia nam motyw i nastroje zarówno
kierowników jak ofiar bolszewizmu. Widzi-
my tu zupełne niezrozumienie tej istotnie
wielkiej sprawy, jaką jest chrześcijańska za-
chodnia cywilizacja. Gardzą nią ludzie, któ-
rzy nie mają dość charakteru, aby w niej
przyjąć czynny udział, i chcieliby wszelkimi
środkami skrócić sobie możliwą drogę, wiod-
ącą powoli do lepszego hytu jednostek i
społeczności, przekreślając od razu cały do-
rodek ludzkości w zakresie zdobytych i u-
znanych praw moralnych. Tacy ludzie, przy
słabej inteligencji, wierzą kłamliwym zapew-
nieniem przywódców, że można przez zbrod-
nie, kłamstwa i oszustwa przygotować lepszą
przyszłość dla ludzkości. Przywódcy zaś ule-
gają pokusie władzy i wyzykują łatwowierne
ofiary, lecz sobie niczego nie odmawiają. A
cała ta harbarzyńska i nieszczęśliwa działal-
ność zaślania się w oczach wyżykujący i
ofiary fałszywą doktryną komunizmu, jako
nowego ustroju mającego ludzkość uszczęśli-
wić.

Tę postawę przedstawia Gubsky z arty-
zmem. Rozmowy jego bohaterów i bohaterki
nigdzie nie wpadają w ton propagandowego
traktatu, są rzeczowymi rozmowami i dys-
kusjami żywych ludzi. Dlatego ta książka
jest bardzo pouczająca dla tych, co chcą do-
trześć do istoty bolszewizmu. Akcja toczy się
bez żadnych rozważań autora, w sposób da-
leko więcej prawdopodobny, niż w poprzę-
dnich jego powieściach.

Główne typy, jak Ronald, Ruth, Harlock,
Schorr, pani Kuzenina w córkami, gada-
tliwy towarzysz Tiller, Sylvia, Derek — to
są wszystko żywe i prawdziwe postacie, któ-
re autor nam przekonywająco przedstawia.
Ciałość jest kawałkiem życia w Londynie
współczesnym z 1935 roku, a zdarzenia opi-
sane mogły właśnie w ten sposób się zdarzyć.
Postęp w opanowaniu formy i budowy po-
wieści, w porównaniu z dwiema poprzedni-
mi, jest widoczny i zapowiada pisarza wiel-
kiej miary, jeśli tylko autor uchroni się od
zbyt wyraźnego zdradzania tendencji, która
zawsze dzieło sztuki speści. Działanie bol-
szewików w Londynie oddłania sam autor
bez niedomówień, z całą rosyjską szczerością,
i to nadaje tej powieści wyjątkową aktual-
ność, bo w niej przemawia nie jakiś postronny
obserwator-cudzoziemiec, ale przekonany
uczestnik tej akcji, która wbrew woli autora
uderza nas swą potwornością.

Powieść Gubskiego nastrożca porównanie
ze słynną powieścią Szolochowa *Tichij Don*,
która pod niejednym względem jest podobna
do *Niespodzianki* Gubskiego.

Obją autorowie są pod urokiem bez-
względności jakoby usprawiedliwionej przez
wielki cel, do którego toruje drogę. Obją
z rosyjską, zaiste, szczerością ujawniają naj-
gorsze strony działalności bolszewików: ich
okrucieństwo, kłamstwa, oszukaństwa, pod-
stęp, zupełny brak skrupułów moralnych,
poświęcanie nie tylko życia ale nawet czi-
j jednostek dla urojonego, odległego celu.

I obją autorowie osiągną skutek wręcz
przeciwny swym zamierzeniom.

W każdym cywilizowanym, zachodnim
czytelniku fakty podawane przez Gubskiego,
równie jak inne podawane przez Szolochowa,
muszą budzić odrzecz, wstręt i pogardę dla
potworów, którzy w ten sposób wyzykują
swą władzę. Różnica między Gubskim a Szolochowem polega na tym, że Gubski pisze po
angielsku w kraju wolnym, nie skrupowany
żadną cenzurą, a Szolochow pisze po rosyjs-
ku w Rosji, dla rządowego wydawnictwa, i
musi się liczyć z wymaganiami najostrzejszej
cenzury bolszewickiej. A jednak Szolochow
z większą bezstronnością kładzie w usta pre-
ciwników bolszewizmu druzgoczące argu-
menty, uwydatniające przewrotność i fałsz

bolszewizmu. Jeden z jego bohaterów wręcz
mówi, że Lenin zaprzedał Rosję Niemcom i
Zydom. Można Szolochowa podejrzewać o
bardzo przenikliwy krytycyzm względem
rządu bolszewickiego. Wprowadza on na sce-
nę ludzi znaczących, jak hetman Kaledin, który
popelnia samobójstwo, gdy nie zdołał prze-
konać Kozaków o szkodliwości bolszewizmu
i centralizacji.

Takich obrońców prawa moralnego u
Gubskiego wcale nie ma. Przemawiają tylko
ci, co je chcą zburzyć. Konserwatyści są bez-
licznie ośmieszani, porządek panujący w An-
glii, któremu Gubsky zawdzięcza swobodę
najprzewrotniejszego pisania, jest bez-
względnie potępiony i triumf bolszewizmu
nad całą Europą śmiało zapowiadany.

Zachodzi pytanie: czym propaganda bol-
szewicka mogła pozbawić pisarza bardzo
zdolnego, wysoce wykształconego, niepodej-
znanego o to, że się dał przekupić, i umiej-
ącego bardzo trafnie dojrzeć prawdę w wielu
szczegółach życia? Dlaczegoż taki człowiek
tak tragicznie się myli w poglądzie na całość
życia i na drogi historii? Odpowiedź na to
pytanie możemy otrzymać jedynie rozwiązu-
jąc najpierw szersze zagadnienie: w jaki spo-
sób niedorzeczna doktryna bolszewizmu do-
łala opanować całą Rosję, potem czasowo
Węgry i Bawarię, obecnie Hiszpanię i po-
części Francję? Co za urok tkwi w tej oczy-
wiście fałszywej doktrynie? Na czym polega
jej wpływ na umysły pewnego typu?

Na te pytania odpowiadają w zupełności
powieści Szolochowa i Gubskiego. Wiadać z
nich, że przynętni stanowią ogrom obietnic,
dawanych co do przyszłości na tle zbyt wielu
braków i niedomagań w ustroju teraźniejs-
szym, w którym nominalne panowanie chre-
ścijaństwa dało tylko wyjątkową doskonałość
indywidualnych świętych, ale nie zapewniło
dotąd zaspokojenia wielu potrzeb tych, co
do świętości nie dorosli. Bolszewizm jako
doktryna przemawia najsilniej do ludzi uczu-
ciowych, przejętych litością nad rozpowszech-
nioną nędzą, a nie posiadających dosyć wy-
ćwiczonego umysłu, by krytycznie ocenić o-
we ogromne obietnice nieszczerých przywódc-
ców, zapowiadające usunięcie wszelkiej nę-
dzy z życia ludzkości.

Brak zdolności krytycznych pozwala na
wiarę w nadejście nowej epoki, sprowadzonej
przez gwałty, oszustwa i okrucieństwa tych,
którzy sami w głoszoną doktrynę nie wierzą.
Jest w tym zarazem brak rzetelnej wiedzy
co do rzeczywistego i stałego od wieków po-
stępu w warunkach życia owych wydziedzi-
conych, którzy dziś mają się znacznie lepiej
pod wieloma względami, niż sto lat temu.

Nudno działa uczuciowa niecierpliwość,
łaknąca dokonania nagle zewnętrznymi środ-
kami tego, co może być tylko stopniowo do-
konane przez wewnętrzny rozwój moralny
jednostek. Wszystkie te czynniki składają się
na obalanie słabszych umysłów, i po-
wieściopisarze bolszewicy mimo woli zdra-
dzają słabość umysłową i bierność takich lu-
dzi, jak Grigorij u Szolochowa lub Ronald
u Gubskiego.

Bolszewizm nie może się poszczycić żad-
nym przykładem nawrócenia prawdziwego
mocarza umysłowego w rodzaju Newmana,
który w dojrzałym wieku, mając lat 44, wy-
rzekł się błędów anglikańskich i przyjął ka-
tolicyzm. Takimi mocarzami nie są ci pisa-
rze zachodni, którzy przyjmują bolszewizm,
i pierwszorzędnej siły krytycznej nie może-
my też przyznać Gubskiemu, pomimo jego
uzdolnień i rzetelnego trudu, z jakim swe
uzdolnienia rozwija.

W tych rozmowach, które Ronald na-
wraca się na bolszewizm, przemawia uczucie,
a brak jest ścisłości myślenia. Nie ulega wą-
tpliwości, że tej ścisłości myślenia także Lenin
nie posiadał, skoro biernie swoje poglądy
przyjął od Marxa i nic do nich nie umiał
dodać.

Na podstawie choćby tylko tych dwóch
bolszewickich powieści, Gubskiego i Szolochowa

Z SIĘDMU WYSP

Frejo, najmilsza Frejo!
Znikasz jak sen najłodszy.
Zachodnie wiatry wieją.
Wiatrom żagle rozpostrzyj.

Przebaczyć nie przebaczę
Sobie — i nie potrafię.
Pocóż więc żyć inaczej
Z brygiem tkwiącym na rafie.

Bonito, o Bonito,
Splłyn ze skalnej przystani!
Zmierzaj piersią przebitą
Do podmorskich krain...

Niebo masztem przeszyte,
Przecięte krzyżem — reją.
Jesteś najdroższym mitem:
Freją. O Frejo!

STEFAN GOŁĘBIEWSKI

chowa, można z zupełną pewnością wywieść, że bolszewizm jest ruchem uczuciowym, działającym w imię wielkich obietnic przez sugestię, agitację i propagandę na ludzi słabych i biernych umysłów, którzy nie umieją ocenić krytycznie proponowanych środków i celów. Tacy ludzie stanowią większość ogromną w każdym kraju i tym łatwiej ulegają przewrotnej propagandzie, że brak jest równie silnej i umiejętniej propagandy przeciwniej. A brak ten tłumaczy się tym, że ta strona przeciwna uznaje wolność woli, więc nie jest skłonna do takich bezwzględnych nadużyć sugestii, jakimi się posługują bolszewicy.

Nowożytne odkrycia psychologiczne sugestii mogą łatwiej i skuteczniej być stosowane z całą bezwzględnością przez materialistów-ateistów i deterministów, niż przez spirytualistów, szanujących wolność bliźniego i ufających w działanie praw Bożych. Zachodzi tu pewna nierówność w środkach walki, która daje czasową przewagę stronnictwom wyrotowym. Lewica polityczna i radykalizm wszelkiego rodzaju mają broń, której katolicyzm i konserwatyzm nie mogą u-

żywać. Ta broń może im służyć jednak tylko czasowo, aż fałsz założeń zostanie jawnie udowodniony. Łatwiej fałszywe wymyślać, niż je obalać, a w danym wypadku ostatecznym argumentem, dowodzącym fałszywości założeń bolszewizmu, będzie dopiero wynik ogromnego eksperymentu, dokonywanego kosztem Rosji.

Zarówno Gubsky jak i Szolochow ukazują nam, że bolszewicy pozyskali władzę przez szereg fałszów, oszustw i okrucieństw. A dzieje ludzkości dowodzą, że władza na takich podstawach oparta nigdy długo nie trwała. Zarówno tyran jak ich ofiary bezwiednie i mimo woli przyczyniają się do wykrycia prawdy moralnej. Istnieją błędy tak ponętne i tak nieuchronne dla ludzkich umysłów, że samo rozumowanie nie wystarczałoby, aby ludzkość od nich uchronić. Trzeba eksperymentu, i ten eksperyment odbywa się na ogromną skalę. Kto chce się dowiedzieć, jak to się dzieje, znajdzie obfity materiał dla konkluzji w powieściach Gubskiego i Szolochowa.

WINCENY LUTOSŁAWSKI

WSTRZĄSAJĄCA KSIĄŻKA*

W szarej, odstraszająco znormalizowanej szacie, w jednym z najniegodniejszych do czytania formatów wysłała spokojna, równa w toku swego opowiadania książka zajmująca, którą człowiek myślący czyta, nie mogąc się od niej oderwać, książka, otwierająca oczy na rzeczywistość polską, na tę jej część, która jak dotąd jest przedmiotem — powiedzmy ostrożnie — bardzo zaniedbanym.

Bo, kiedy przystępujemy do budowania kamienicy, zaczynamy od wiercenia, szukania oparcia dla fundamentów. Dobieramy materiały doskonale zbadane. Wytrzymałość cegły, cementu, żelaza — wszystko to jest obliczone, ujęte w tablice, a błąd popelniony — może zaprowadzić architekta czy majstra przed kratki sądowe i kosztować lata wolności. Tak jest wtedy, gdy mamy do czynienia z materiałem martwym.

Ale, gdy chodzi o żywych ludzi — jest

* LUDWIK LANDAU: *Bezrobocie i stopa życiowa ludności dzielnic robotniczych Warszawy*. Warszawa 1936. Instytut Spraw Społecznych. Sprawy rynku pracy i bezrobocia. — Nr. 8.

inaczej. Opieka społeczna w Polsce nigdy nie odczuła potrzeby zbadania technologii materiału, z jakim ma do czynienia. Z filantropii zrodzona, dotąd operuje jej pojęciami. Ministerstwo jej poświęcone zajęte jest w całości sprawą ubezpieczeń, zagadnieniami pracy, w ostateczności zakładów zamkniętych. Samorządy — traktują te rzeczy jako ciężar, czasem (najnieśluszniej w świecie) jako sposób zyskania popularności. Wszelkiego rodzaju instytucje „charytatywne“ tą drogą pragną oddziaływać na szerokie masy, nie wiedząc nawet, że praca opiekuńcza w naszych warunkach tylko depopularyzuje, bo każde wyrzekanie skazanego na pomoc społeczną kończy się stereotypowym: „a najgorsze to te — kumitety“. Nawet statystyka traktuje te sprawy z jakimś niesłychanym po prostu na innych polach zaniedbaniem.

Toteż wielką zasługą Instytutu Spraw Społecznych jest wydanie tej książki. I doskonale dokonany został wybór autora. P. Landau to badacz ścisły, beznamiętny, patrzyący oczyma otwartymi, umiający opano-

wać materiał gruntownie. Nigdy nie poniesie go fantazja — i nigdy nie zabraknie mu naukowej wyobraźni do ożywienia cyfr, z jakimi ma do czynienia, ani umiejętności zestawienia ich w takim ugrupowaniu, by poczęły przemawiać.

Bezrobocie i stopa życiowa ludności niektórych robotniczych dzielnic Warszawy interesują badacza. Rzecz nienowa. Przecież bezrobociem zajmujemy się od chwili powstania Rzeczypospolitej. Rzecz — nieznaną. Tak jest. Nie znamy nawet jego rozmiarów. Cyfry urzędów rejestracyjnych zapewne są najzupełniej prawdziwe. Ale dotyczą tylko tych, którzy się rejestrują. Jaki jest ich odsetek?

P. Landau po zbadaniu materiału ankietowego, jaki ma do rozporządzenia, ustala, że jest przede wszystkim do najwyższego stopnia niejednakowy w różnych grupach bezrobotnych w zależności od ich uświadomienia, umiejętności korzystania z urzędów i zakładów, możliwości wykorzystania, stopnia uprawnień, rynku pracy, wieku i innych warunków. Niejednakowa regularność rejestrowania się jeszcze bardziej zaciemnia obraz. Przyjawszy ogólną rejestrację na 47% i poprawki wynikające z tej nieregularności, dochodzimy do przekonania, że w zimie roku 1934/35, kiedy oficjalna cyfra bezrobotnych m. Warszawy chwiała się około 31 tysięcy — istotna ich liczba wynosiła od 65 — 120 tysięcy! Dane Głównego Urzędu Statystycznego zatem w najlepszym razie podawały 47% istotnego bezrobocia, w gorszym tylko 27%. Spotykamy się tu z tak rzącym brakiem danych, że po prostu podrywa ono wiarę w możliwość podejmowania jakichś celowych prac ku zwalczaniu zła lub jego skutków. A przecież cyfry p. Landau bynajmniej nie są wytworem pesymizmu. Jeżeli spróbujemy, niechając danych ankiet, obliczyć stan bezrobocia przez porównanie ilości zatrudnionych w latach 1928 — 1935, jeżeli doliczymy do tego przyrost naturalny, imigrację do miast, powstrzymanie emigracji i t. d., to dojdziemy do liczb bardzo zbliżonych, a granicę minimum i maximum ustalić nam wypadnie dla Warszawy na 90 — 110 tysięcy głów bezrobotnych.

Zadanie zatem p. Landau było niełatwe. Musiał przejść do porządku nad statystyką urzędową i sięgnąć gdzie indziej — i to nie tylko na tym polu.

Przecież bezrobocie jest zjawiskiem stałym. Przecież do walki z nim po wielu próbach i zawodach powołany został Fundusz Pracy. Przecież ten Fundusz ma pod opieką

w samej Warszawie dziesiątki tysięcy ludzi. posiada aparat badający uprawnienia tych ludzi do pobierania pomocy. Przecież doszedł on do standardyzacji pomocy. Zdawałoby się, że wystarczy sięgnąć do danych zbieranych przez jego wywiadowców czy kontrolerów — mniejsza o nazwę — a znajdziemy tam potrzebny materiał. Przecież Zarząd m. st. Warszawy posiada 10 stacji opieki społecznej, rozporządzających również aparatem wywiadowczym, badającym położenie materialne setek i tysięcy ludzi...

Tak, to prawda. I prawdą jest również to, że ani Instytut Spraw Społecznych nie mógł proponować autorowi oparcia swych wywodów na tych materiałach, ani p. Landau nie mógłby w nich nic znaleźć. Przyjęcie za podstawę prac materiału ankietowego, zebranego specjalnie na zamówienie w ciągu krótkiego czasu (od 2 do 5 tygodni) implikuje uznanie, że to, co gromadzą instytucje opiekuńcze miasta Warszawy, nie posiada żadnej wartości — do badań naukowych. Implikacja eluszną. A my, znając te materiały, od siebie dodamy — nie posiadają i żadnej wartości praktycznej, nie pozwalają na opracowanie żadnego zagadnienia, na postawienie żadnego planu, ani na sprawdzenie skuteczności prac, w które „na kredyt“ pchr się pieniądze i siły ludzkie z minimalnym dla ludności pożytkiem.

Instytut Spraw Społecznych musiał sam zbierać materiały, musiał sam tworzyć podmurówkę do pracy p. Landau. I wnioski swoje musiał oprzeć na zbadaniu niepełnych 400 rodzin w różnych dzielnicach robotniczych stolicy. Liczba to mała, nie pozwoliła ująć całego szeregu zjawisk należycie, i bardzo ograniczyła możliwości wnikliwego badacza. Jednak na jego chwałę możemy powiedzieć, że na ogół w punktach przecięcia z innymi licznymi pracami na ten temat, porównanie cyfr wykazuje, że materiał, jaki zebrano, zasługuje w najważniejszych momentach na nazwę reprezentacyjnego, że przy zbieraniu go organizatorów nie zawiodła ani wiedza, ani naukowa intuicja.

Autora obchodzi nie samo bezrobocie, ale wogóle poziom życia ludności, który pod wpływem stagnacji gospodarczej skurczył się. Przecież 47% bezrobotnych obciąża kosztem utrzymania swego rodziny. Przecież 45% badanych rodzin robotniczych ma kogoś bezrobotnego, a jeżeli uwzględni „rodziny“ jednoosobowe, to otrzymamy odsetek ludności dotkniętej nim w wysokości 52%. Jakaż jest przeciętna stopa życiowa wszytkiej ludności robotniczej? Odpowiedź: przeciętnie na jednostkę spożywającą przy-

Z LEKTURY WAKACYJNEJ

Mało mam czasu na czytanie czasopism. Staram się po trosze odrobić zaległości na wakacjach. Tak się właśnie zdarzyło, że tego lata wpadł mi w ręce numer *Wiadomości Literackich* z krytyką (w przeglądzie prasy) mojego artykułu w *Gazecie Polskiej* o *Glupim Jakobie*. Poza podniosłymi sentencjami moralnymi (patrzcie, patrzcie!) notatka zawiera zarzut, że nie rozumiem sztuki i interpretuję ją dowolnie. Zdaniem W. L. stosunek Szambelana do Jakóba jest pelen przywiązania i uczucia, nie ma w nim śladu pogardy czy niechęci. Mam wrażenie, że rozstrzyga tutaj jedynie tekst. A tekst jest wyraźny. Nie mogę oczywiście przytaczać całych kwestyj. Ale to niepotrzebne. Dość przypomnieć sobie, jak wgardliwie wyraża się Szambelan o tej *chamskiej prawdzie*, w imię której wciąż walczy Jakob, jak głęboką, „klasową“ miał odrzę do jego postawy ideowej. Jeżeli ktoś ma tak mało wyobraźni, że tego nie spostrzeżę w sztuce Rittnera, to na to oczywiście nie ma rady. Tak samo fałszywie ujęte jest rzekome przywiązanie Szambelana do Jakóba jako „ojca“ do „syna“. Przywiązanie to jest raczej lekkim osamotnionego starca, który chciałby się u schyłku życia czegoś uczepić, ale nawet obawa samotności nie może przemóc jego odrzę do chęci Jakóba. Interpretacja aktora wiele oczywiście może zdziałać, zwłaszcza tak znakomitego jak Junosza-Stepowski, nie może jednak zatrząć właściwego rysunku postaci. W. L. wytyka mi w związku z graną niedawno sztuką Acharda Noix de coco do-rabianie wielkich motywów moralnych i wysokich rodowodów literackich podrzędnym autorom. Zarzut ten W. L. uważają widać za niezwykle cięty, bo powtarzają go nie wiem już który raz. W istocie jest to zwykłe głupstwo. Mogę to wytłumaczyć na przykładzie. Jeżeli się tak po prostu postawi Słonimskiego obok Shawa, będzie to oczywisty nonsens. Ale mimo nieprzebytego dystansu, który ich dzieli, nie będzie nonsensu w wykazaniu pewnych pokrewieństw między jednym i drugim. Pokrewieństwa bowiem zachodzą nawet między pisarzami najniższej i najwyższej klasy, a pismo noszące w nagłówku przymiotnik *literackie* powinno się w tym jako tako orientować.

*

Przy okazji przejrzałem też inne numery. Trafiam na kronikę p. Słonimskiego, jak wiadomo sumiennego i niezawodnego informatora swych czytelników. Tym razem rozplywa się nad p. Blumem za to, że dzisiejszy premier Francji upaństwowił handel bronią. P. Słonimski spóźnił się z zachwytami o parę miesięcy, z inicjatywą bowiem zniesienia prywatnych zysków z „handlu śmiercią“ wystąpiła nie Francja, tylko Włochy, i nie Blum, tylko Mussolini.

*

Przerzucam się do przybudówki W. L. — *Przyjaciela Psa*. Pisałem nieraz, że zagadnienie ochrony zwierząt jest w Polsce, przy jej brakach cywilizacyjnych, bardzo ważnym zagadnieniem, nie godziłem się nigdy z tymi, którzy starali się je zbagatelizować, powołując się na kontrast z „nędzą ludzką“, podkreślałem, że walka z nędzą i okrucieństwem wobec zwierzęcia należy do jednego porządku moralnego. W kraju, gdzie do dziś utrzymuje się najplugiwszy sposób rytualnego mordowania zwierząt, gdzie co drugi woźnica jest katem, propagowanie ludzkiego odchodzenia się ze zwierzęciem jest akcją konieczną. *Przyjaciela Psa* nie spełnia jednak tego zadania. Pisemko to swoim beztrojskim snobizmem niemile kontrastuje z ponurym tłem naszego życia. Artykuł rzeczowy, ważny, jest tu rzadkością. Przeważa felietonowe wygłupianie, albo rozważania nad uciwaniem brodawek różnym wybrancom psiej Fortuny. Ludzkie snoby piszą z zachwytem o psich snobach. Niesmaczne.

*

Porzucam *front ludowy* i przechodzę do naszych *karlistów*. W Poznaniu wychodzi pismo, formatem i zamasztysem rysunkiem tytułu nawiązujące do *Wiadomości Literackich* a ideowo do Akeji Katolickiej. Nosi dumny tytuł *Kultura*. W numerze 19 tego tygodnika znajdujemy artykuł wstępny p. t. *Skomplikowana historia*. Pod tytuł brzmiący „Wskazaniem jest czytanie w całości“ świadczy dobrze o samokrytycyzmie autora, ale nie zachęca do pójsicia za jego radą. Autorowi sprawia szczególnie trudności przypadekowanie. Weźmy takie zdanie: „A ja sędzę, mam, że naprzykład zakony zamknięte, że

wielu tych ludzi stojących na uboczu od świata i myślących jedynie o Bogu i osiągnięciu Boga przez modlitwę i utrapienie własnego ciała — jest jednak aspołeczny“.

Nie gardzi też autor uroczym pleonazmem: „Ciąg dalszy mógłby być nudny i nieciekawy“ — czytamy na wstępie. Zresztą trzeba przyznać, że poza trybem warunkowym, niewłaściwie tu użytym, jest to jedyne trafne zdanie w artykule. Z tegoż numeru *Kultury* dowiadujemy się ciekawych rzeczy o Magdalenie Samozwaniec. Okazuje się, że jej felietony nie tylko mają w sobie coś z Chamforta, Rochefoucaulda i Courtelina, ale są wzorową budującą katolicką moralistyką. — Kto by to myślał! — Przy tym felietonie p. Magdaleny omawia sprawozdawca łącznie z *Czasami pogardy* Malraux pod wspólnym tytułem: *Świadome ojcostwo i czasy pogardy* — coś jak na szczęście niedoszła *wodawglowie*. — Wogóle „kwiatków“ *Kulturze* nie brak. W recenzji z książki Nowaczyńskiego ktoś pisze: „Znany ogólnie styl pisarski Nowaczyńskiego nie wymaga szczegółowych wyjaśnień względnie omówień“. Rzeczywiście, bardzo ładnie. Są i artykuły poważne. A więc Maria Winowska pisze *O roli społecznej poety*. Autorka stara się udowodnić, że między religią i sztuką nie ma nie tylko rozdźwięku, ale że artysta znajduje dopiero pełnię najlepszych warunków pracy w katolicyzmie. Jeśli artykuł ten ma być wyrazem najlepszych osiągnięć naszych katolików „integralnych“, to nie daje świadectwa oryginalności ich poglądów. P. Winowska ma duży zasób wiadomości z zakresu filozofii i teologii i dobrą pamięć. Dowodzenie jej jednak obraca się w scholastycznej próżni. Jest to montowanie pewnych apriorycznych założeń, nie konfrontowanych z doświadczeniem, i budowanie tą drogą ni- by „murowanych“, w istocie zupełnie martwych wniosków. Zagadnienie stosunku artysty do religii można z pożytkiem rozważać tylko na konkretnym materiale psychologicznym. Niestety orientacja autorki w zakresie psychologii twórczości artystycznej jest żadna. Można jej przypomnieć Mauriacca jako chyba jedyne dziś piasarza katolickiego, który naprawdę śmiało i bezkompromisowo podjął — tragiczną dla katolika — rewizję psychologicznego stosunku człowieka „wierzącego“ do twórczej pracy artystycznej. Na końcu artykułu p. Winowskiej znajdujemy coś naprawdę zdumiewającego. Oto dla naszej autorki Molière to

patron komediantów, „który nie znalazł pochowka w święconej ziemi“! Jak trwała jest jednak nienawiść katolików wszystkich od-cieni do twórcy *Tartuffa*! Inna niezapominajka — to ubolewanie w tymże artykule, że nikt dzisiaj nie domaga się „zlynchowania Zegadłowicza“. *Zmory* nie budzą we mnie entuzjazmu i chyba ustosunkowałem się do nich dość wyraźnie, jednak oburzają się, że nie zlynchowano autora — to może pewna przesada — nawet jak na *Kulturę*?

*

Z zajęciem odczytałem odpowiedź p. Forst-Battaglii na moją recenzję z jego książki o literaturze katolickiej w Polsce zamieszczonej w *Pionie*¹. To co p. Battaglia pisze na wstępie o pochwałach, jakich jego dzieło doczekało się ze strony wysokiego dostojnika kościelnego, oczywiście onieśmieliło mnie bardzo. Ale potem zaraz się pocieszyłem. Mimo wszystko miałem rację. Autor w niczym nie obalił absurdu zawartego w omawianiu na dwóch stronkach drobnego druku twórczości pisarza, o którym sam twierdzi, że ma poważne wątpliwości czy może go zaliczyć do literatury katolickiej — przy równoczesnym zbyciu trzema wierszami kapitalnych *Nocy i Dni*, zawierających rozważania na tematy religijne na poziomie znacznie przewyższającym wszystkie konwenanse tradycjonalistyczne. Co do Zegadłowicza, to bardzo żaluję, ale i tu nie mogę uścąpić. Pomijam *Zmory*, ale czy taki *Glaz graniczny* z jego dawniejszej twórczości nie jest — mówiąc językiem katolickim — utworem wskroś „pogańskim“? Przy końcu swych wyjaśnień Forst-Battaglia daje nam właściwy „klucz“ do oceny swej książki. Powiada mianowicie, że p. Jeleński nie zdziwi się omówieniu swych szarad i figlików matematycznych, w książce traktującej o *literaturze* katolickiej, bowiem śpiewak *Lilawati* „prosił“ o to autora. (Widzę tę scenkę rozdajową!) Dąbrowska widocznie nie „prosiła“. W tym szczególnym, jak na historię literatury, oświeceniu dzieło profesora Forst-Battaglii świadczy raczej o jego wysokich talentach towarzyskich, niż o prawdziwych zamiarach krytycznych. Jest to, jak widać, dzieło kurtuazyjne. Sądzę, że ten jego charakter zapewni mu zasłużone powodzenie w sferach, dla których było napisane.

J. E. SKIWSKI

¹ Por. *Pion* n-ry 132 i 149.

POWIEŚĆ

GUSTAWA JARECKA: *Przed jutrem.* Powieść. Warszawa 1936. F. Hoesick.

pada 10,9% tygodniowo. Dla rodzin z bezrobotnymi spada to do 7,9 zł. tygodniowo, dla rodzin całkowicie bezrobotnych — 4,7 zł. To znaczy — licząc wszystko — mieszkańie, wikt, opierunek.

Pozostawiamy wyobraźni czytelnika uplastycznienie doniosłości tych cyfr. Biegniemy do zagadnienia, jaką rolę gra w tym wszystkim pomoc społeczna? W jakim stopniu świadome działanie społeczeństwa, organów samorządowych czy rządowych łagodzi ten stan przeraźliwej nędzy?!

Cyfr, niestety, są wymowne, wymowniejsze niżby się można było spodziewać, sądząc z reklamy, jaką się akcji tej czyni. Zarobki na robotach publicznych stanowią dla rodzin obarczonych bezrobotnymi 0,8 — 0,9% ich dochodów... Powiedzmy więc sobie otwarcie — to nie jest pozycja, którą w ogóle można brać pod uwagę. Opieka społeczna samorządu dała już więcej, gdyż pomoc jej w zasiłkach i żywności przyniosła od 1,2 — do 4% budżetu owej ludności (te 4% otrzymali całkowicie niezarobkujący). Jej pomoc lecznicza była większa, gdyż sięgała 5%. Pomoc instytucji społecznych była w dziale dożywiania i t. d. jeszcze wydawniejsza, dochodząc w poszczególnych grupach rodzin do 6,8% ich ogólnych dochodów. Najniżej przedstawia się pomoc Funduszu Pracy. W ogólnym rozkładzie dochodów stanowi ona 0,7% (2,7 od samorządu 1,2 od instytucji społecznych) — w poszczególnych zaś grupach, rodzin złożonych z samymi bezrobotnymi, a więc takich, nad którymi całość opieki powierzona jest jemu — sięga 4%. Dla ilustracji podamy, że pomoc rodzinna wynosi 6,3 do 24,7. (Załączniki tabl. 18c str. 34).

Uderza nikłość pomocy społecznej i jej całkowita niewystarczalność. Toż te 4% udzielanych przez Fundusz Pracy dla rodzin całkowicie bezrobotnych, to jest mających 4,7 zł. na jednostkę konsumcyjną, stanowi zaledwie 19 gr. na tydzień. Roboty publiczne wszystkie a więc nie tylko finansowane przez F. P. stanowią w poszczególnych rodzinach przeciętnie 64 — 72 gr. tygodniowo. Czyli... zniesienie ich całkowicie nie wpłynie zasadniczo na położenie ludności robotniczej. Oto jest właściwy sens książki. Oto jest praktyczny wniosek zmuszonych dociekań.

Stosunek opinii publicznej do zagadnień opiekuńczych kształtuje się na podstawie cyfr innych. Słyszymy: tyle a tyle tysięcy wydanych obiadów dziennie, tyle a tyle rozdanych hochenków chleba, dziesiątków kilogramów węgla. Ale skutek? ale — *réalité des choses*, o którą wołał na każdym kroku Marszałek Piłsudski? Te skutki oddelania nam spokojnie, zimno, ostrożnie napisana książka Ludwika Landau, książka, która powinna otworzyć oczy społeczeństwu na istotny stan rzeczy i na to, co czynimy, aby temu stanowi rzeczy zapobiec.

I podnosimy to właśnie teraz, gdy mowa o obronności Rzeczypospolitej. Podstawę tej obronności winien stanowić obywatel. Czyż trzeba mówić, że budżet sprządzający się do czterech złotych na jednostkę może nam dać bodaj najskromniej odżywnych poborowych?

Ułamki procentów pomocy podzielone pomiędzy samorząd, Fundusz Pracy, instytucje społeczne nie stanowią nic. Rozdzielane według różnych systemów, kluczy, szablonek — marnują się w sposób zastraszający. Pierwszym postulatem pozytywnym, jaki wypada wysunąć — jest zjednoczenie pomocy, scalkowanie jej. I jeżeli trudno sprowdzić do jednego mianownika wszystkie organizacje społeczne, jeżeli nonsensem byłoby ograniczyć działalność ośrodków inicjatywy społecznej, która, jak to cyfry wykazują, odgrywa niemal rolę, rolę znacznie poważniejszą, dajmy na to, od Funduszu Pracy — to wysiłki samorządu i Państwa muszą być zjednoczone. Mogliśmy co do tego mieć jakieś wątpliwości wtedy, gdyśmy sądzili, że istotne powołanie do życia nowej instytucji wzmoże pomoc. Tak nie jest. Więc odwołanie ulamkowej pomocy winna zniknąć. Zniknąć na rzecz pomocy powszechnej — samorządowej. Ale racjonalnej. Czy taka istnieje w Warszawie? O tym powiedzą nam może niebawem nowe wydawnictwa Instytutu Spraw Społecznych. O tym mówi nam też i ciekawa książka p. Starczewskiego, wydana przez Zarząd Miasta. Wypadnie więc i o niej pomówić.

A. UZIEMBO

INFORMACJA PRASOWA
POLSKA

jedynie od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej”: Warszawa, Brucka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9.41.53).

Na podstawie znajomości polskiej współczesnej literatury reportażowo-społecznej przywykło się uważać, że powieść-reportaż jest formą literacką, która przewyższa prawa i konwencje sztuki — aby wiernie oddać rzeczywistość. Tkwi w tym naiwna wiara realistów XIX w., którzy, walcząc z konwencjami romantyzmu, ufali, że potrafią wyzłoczyć sztukę ze wszelkich konwencji i w ten sposób dać „surową, nieprzetworzoną artystycznie rzeczywistość”. To im się nie udało — bo udać się nie mogło. Za to wytworzyli wiele nowych środków artystycznego ujęcia, charakterystycznych właśnie powieści realistycznej. Współczesna powieść społeczno-realistyczna posługuje się świadomie lub nieświadomie tymi tradycyjnymi chwytami — znowu wierząc, że odtwarza życie. Zmieniła się tylko problematyka. Radykalizm realistów XIX w. wyrażał się zainteresowaniem stanem mieszczańskim, „szarymi” postaciami inżynierów, kupców i rzemieślników — radykalizm współczesny „komunizuje”. Jest w tym dużo snobizmu, a jeszcze więcej mody literackiej, często nie znajdującej rekompensaty w prawdziwym artyzmie. Stąd naiwności w stawianiu problemów, idealizacja „brudnego proletariatu”, łatwy, często retoryczny dydaktyzm itp.

Na tym tle, naprawdę ciemnym i złośnym w porównaniu chociażby do świetnej pod względem aryzmu współczesnej realistycznej-społecznej literatury rosyjskiej (Pilniak, Szolochow, Tolstoj), dodatnio wyróżnia się powieść Gustawy Jareckiej *Przed jutrem*. Przyjemnie dziwi w niej powściągliwość dydaktyzmu autorki.

Jarecka zdradza swe przekonania tylko przez wymowę dobrze dobranych i zestawionych faktów. Naczelny motyw powieści, powtórzony kilkakrotnie: „inne prawa niż ludzkie życie i śmierć rządzący Nonplusem” nabiera dużej wyrazistości w zestawieniu z cierpieniami i śmiercią poszczególnych ludzi. Fabyryka „Nonplus” staje się prawie symbolem tragizmu ciężkiej pracy i mechanicznej beczności stosunków społecznych. Tragizm życia, jak sugeruje autorka, to nie samolubne cierpienia ludzi sytych, — lecz nędza nieogrzanych mieszkań, brak pracy, która grozi kalectwem, strajki, narażające na jeszcze gorszą biedę.

Jarecka wkomponowuje te motywy w parę równoległych wątków, umiejętnie przechodząc od jednej sprawy do drugiej, prawdopodobnie wiąże losy wszystkich postaci.

Jednakże wyczuwa się chwilami osłabienie spoiwości kompozycyjnej. Motyw przeżyć i rozczerawań Anny rozrasta się w sposób nadmierny, nieusprawiedliwiony funkcją tej postaci w utworze.

Może zawiniły tu zainteresowania psychologiczne autorki, — może w postaci tej zamknęła jakieś swoje myśli czy przeżycia — w każdym razie, odrywając zainteresowanie czytelnika na dłuższy czas od spraw zasadniczych, dobrowolnie osłabiła efekt. Podobny zarzut można postawić niewyzyskanemu wprowadzeniu samobójstwa dyrektorkowej, potrzebnemu chyba tylko po to, aby ułatwić Annie dostanie posady w środowisku związanym z „Nonplusem”.

Mimo te drobne zastrzeżenia, powieść rohi wrażenie świadomej i celowej pracy artystycznej — pracy, która zna wartość słowa i umie stwarzać napięcie dramatyczne.

ADAM M. MAZUREK: *Rosną ludzie.* Powieść. Dom. Warszawa 1936. Księgarnia Popularna.

Rosną ludzie — to według zamierzeń autora — powieść dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Z pewnością zamiar dość ryzykowny, od razu bowiem nastraja krytycznie. Od utworu tak „reklamowanego” oczekuje się albo dużej wartości artystycznej, która mogłaby okupić prymitywizm tematu i zagadnień, lub też z góry buntuje przeciw spodziewanemu dydaktyzmowi. Przeciwnie, najcześniejsze powieści „dla wszystkich” przypominają te naiwne brzydkie obrazki, porozwieszane w poczekalniach Ubezpieczalni Społecznej i Kasy Chorych, obrazki, które jaskrawymi barwami grozą śmiercią dziecku krzywiącemu się na widok balii z wodą, a zapewniają zdrowie eszcześliwym posiadaczom mydła i szczotek do zębów. Byłoby niewłaściwie i śmieszne stosować do tych reklamowych obrazków kryteria estetyczne. Ich cel jest jasny — pouczyć o czymś wszystkich — ich środki są tak prymitywne, że budzą wątpliwość co do rezultatu wysiłku „autorów”. Jedyń ich przewagą nad powieściami pisanymi w takichże celach jest to, że wszyscy pacjenci muszą przypatrywać się im przez długie godziny oczekiwań.

Nikt natomiast (poza nauczycielem w klasie) nie zmusi czytelnika do przeczytania grubej i nudnej książki. Nie pomogą najszlachetniejsze intencje autora, jego en-

tuzjizm i wiara w propagowane hasła — o ile nie przetworzy on artystycznie eurowego dydaktyzmu.

Powieść *Mazurka*, w której rolę owych niezbędnych przedmiotów higienicznych spełnia samorząd domowy, chce pouczyć rodziców, jak wychowywać dzieci (musi ich być conajmniej troje — bo inaczej z tym samorządem będzie źle!), chce prócz tego zachęcić młodzież do organizowania całej rodziny, łącznie ze służącą, w samorzady.

Można się godzić lub nie na tezy autora, ale nawet ich najzupełniejsze uznanie nie przeszkodzi temu, aby dostrzec, że *Rosną ludzie* to albo rozprawka pedagogiczna, która stosuje niewłaściwe środki przekonywania, albo powieść, która w naiwnym dydaktyzmie zatraciła niemal wszystko, co powinno z niej zniknąć „utwór literacki”.

WANDA WASILEWSKA: *Wierzby i bruk.* Warszawa, Gebethner i Wolff. Polska i świat społ. Bibl. mlodcz. 39.

W zupełnie inny, właśnie artystyczny sposób rozwiązuje problem dydaktyzmu w powieści dla młodzieży Wanda Wasilewska. Zgodnie z dotychczasowym poglądem, że jednak utwór dla młodocianych czytelników musi rozszerzyć ich wiadomości o świecie, nauczyć obserwować i pobudzić odpowiednie uczucia moralne — autorka wkomponowuje w akcję opisy warsztatu stolarskiego, pracy przy budowie domu i t. p. Pomimo to, nawet wyrobiony estetycznie czytelnik nie dozna chyba wrażenia, że utwór został napisany po to, aby zaznaczyć młodzieży z pracą murarza czy stolarza. Nie dozna, bo zarówno Wiecek, jak inne postaci wplątane w jakiś sposób w akcję, są przedstawione żywo i plastycznie, bo życie ich jest tak związane właśnie z tą pracą, że bez niej ich charakterystyka byłaby niepełna.

Może jedynie sposób pobudzania zainteresowań i sympatyj młodzieży dla opisywanego środowiska jest trochę prymitywny. Wyraża się bowiem tradycyjnym idealizowaniem nie tylko głównej — ale i wielu innych postaci.

W każdym razie zarówno stylizowane rozmowy jak i prostota opowiadania, a wreszcie powrót w zakończeniu początkowego motywu wesela chłopieckiego, sprawiają, że oceniając powiastkę dodatnio czy ujemnie, oceniają się ją przede wszystkim właśnie jako utwór literacki.

AMELIA ŁĄCZYŃSKA: *Dachy płoną.* Powieść ziemiańska z ostatniej doby. Lwów (1936). Skład główny: Księg. Gubrynowicz i Syn.

Pomimo wielkich wysiłków autorki, horykającej się z problemem roli szlachty w życiu współczesnej Polski — powieść *Dachy płoną* trudno byłoby przeczytać, gdyby nie jej komizm. Nie jest to wprawdzie dobrotliwy humor Prusa, ani komizm groteskowych postaci Dickensa; przypomina za to jakże zabawny widok człowieka łapiącego swój kapelus. Trudno takiemu współczuć, gdyż jest zbyt nieporadny, można się z niego pośmieć, bo przecież nic nie zawinił. Łączyńskiej też trudno zarzucić złą wolę, robiła co mogła; wprowadziła poważne problemy, próbowała przedstawić różne typy rodzin szlacheckich, a nawet, siłąc się na atrakcyjność akcji, melodramatycznie uśmierciła jednego z ohywateli! Nie udało jej się jednak opanować chaosu motywów, słów i pochwytych zwrotów. Bezsilnie walcząc z nieporadnością języka, znajduje albo najbardziej zużyte, albo całkiem nieodpowiednie wyrażenia. „Oczy jego — wwiercały się jak dwa sztylety w jej oczy” (24) — „Myśliwi brzemienni nadzieją” (59) — to jeszcze nic wobec takich rewelacji filozoficznych: „Był piękny: mocny, muskułarny tors spoczywał na nogach silnie związanych” (134) i t. p.

Jest jeszcze gorzej, skoro autorka próbuje oddać sielski nastrój wsi i piękno poddania się kobiecie — prawom natury... „Każda rzecz żywa rośnie i rozwija się pod jej cudotwórczą ręką, czy jarzyny w ogrodzie, czy piekleta w kurniku, czy świnki w chlewkach, czy cielęta. Wszystko mnoży się i buja(?)”. A oczywiście w pierwszym rzędzie stosuje się to do jej własnego rodzaju. Urodziła sześciorgo dzieci, jedno tylko umarło jako niemowlę... Gdyby nie zdrowy rozsądek pana Karola z chęcią urodziłaby pani Alina z tuzin jeszcze dzieciaków” (55).

Przydadłoby się naprawdę taki zdrowy rozsądek pana Karola, aby skłonić autorkę do kontroli własnej pisarskiej płodności!

O. KUZNIECOWA: *Wróg pod mikroskopem.* Powieść o Ludwiku Pasteurze. Warszawa (1936). Księgarnia Popularna.

Powieść biograficzna o jakimkolwiek wybitnym uczonego mocno ogranicza swobodę twórczą autora i piętrzy przed nim wiele trudności.

Trzeba bowiem znaleźć jakiś kompromis między wymaganiami formy artystycznej a

wiernością faktów; trzeba z życia, najczęściej dość ułogiego w przygody i zdarzenia, wydobyc motywy dynamiczne i stworzyć z nich akcję; trzeba wreszcie z pomocą subtelnej analizy psychologicznej odłonić te cechy psychiczne i przeżycia, które zdecydowały o wielkości człowieka. Jeszcze innego rodzaju ograniczenia napotyka autor, który dąży do popularyzacji. Musi wówczas liczyć się także z poziomem inteligencji czytelnika i przedstawiając fakty w sposób najprostszy, jeszcze niekiedy je wyjaśniać.

Te wszystkie trudności napotkała niewątpliwie Kuzniecowa w swej pracy nad powieścią o Pasteurze i sposobów, w jaki wygłaszała się z nimi, decyduje o wartości utworu.

Fakt, że książka jest interesująca, wskazuje na to, iż autorka nie tylko wybrała odpowiednie zdarzenia i przeżycia, lecz i potrafiła je odpowiednio przedstawić. Widać tu głębokie życie się w psychikę Pasteura, entuzjizm dla jego nieustraszonego zapału i wiary, wyrozumiałą pobłażliwość dla życiowej nieporadności dużego dziecka-uczonego. Autorka z umiłowaniem stara się o jak najlepsze zrozumienie niezwykłego człowieka, aby przedstawić go w całej jego wielkości. Nie znaczy to, aby na wzór wielu naszych biografistów „bronzowała” Pasteura; raczej przeciwnie — przedstawia go jako człowieka trudnego w pożyciu, nerwowego, może egoistycznego w swym dążeniu do jednego celu. Ale właśnie ten bliski stosunek, stosunek największego uznania opartego na zrozumieniu, że wielki człowiek nie może być „wzorowym” człowiekiem — czyni powieść interesującą i przystępną. Ubóstwo akcji znajduje rekompensatę w dynamicznym przedstawianiu życia wewnętrznego, — trochę przydługie — w celach popularyzacyjnych — wyjaśnienia metod i rezultatów pracy są okupione żywo nakreślonym obrazem zmagania uczonego z nieufnością ówczesnego świata nauki i z własnym zwątpieniem.

Może najsłabiej wypadła kompozycja utworu. Autorka obrała drogę najpospolitszą i najprostszą, układając fakty chronologicznie. Wprawdzie kilka razy cofnęła się w czasie dzieciństwa Pasteura, motywując to jego wspomnieniami, bądź też po prostu wsuwając jakiś potrzebny dla wyjaśnienia epizod — ale wyraziła się w tym raczej pewna nieporadność artystyczna. Taki układ typowy dla biografii naukowych mógł być rezultatem zamierzeń popularyzatorskich, ułatwia bowiem zapoznanie się z całością badań Pasteura w ich naturalnej kolejności — pozbawił jednakże powieść dramatyizmu, czyniąc z niej miejscami niemal kronikarskie opowiadanie.

EWA KORZENIEWSKA

*

PEARL BUCK: *Matka.* Powieść. Przetłoczyła Stella Landy. Warszawa 1936. Tow. Wyd. „Rój”.

A więc wstać o świcie, gdzietam, przed świtem jeszcze, gdy chłód nocny kasa bose stopy, — po ciemku wyprowadzić ze wspólnej izby powolnego bawolu, wygnać rozproszony na glinianym toku drób, odziać dzieci własne i starą teściową, a potem niecić ogień, warzyć strawę, oszczędnie, najogólniej, ho i żywności skąpo, nie tylko na przednówku, lecz jak rok długi, i opału oczywiście braknie, — toteż zamiast drogiego drzewa sypie się do pieca nawóz suszony i nietrawia, kolając trawę.

Cóż się potem jada przed nużącą, całodzienną pracą? Ryż odmierzony skąpo, kraszony od święta jednym jankiem na kilka osób lub odrobina ryby. Jeśli mięso, to ochlapczy najtańsze, jeśli chleb, to z grubej mąki, pełnej ości. A grzbiet się odziewa w szmaty byle jakie, latane pracowicie rok za rokiem, gdyż nowa suknia to zbytek, to wydatek niemal ponad siły, to zdarzenie, o którym się mówi miesiącami.

W takiej właśnie nowej sukni, błękitnej jak niebo, odszedł z chaty rodzinnej mężczyzna zwany Li, zostawiając bez opieki żonę, babkę-staryszkę i dzieci. Opuszczona kobieta jest bohaterką ostatniej powieści Pearl Buck.

Znamy ją od początku do końca jako „matkę”, autorka nie dała jej bowiem żadnego osobistego imienia, w przekonaniu zapewne, że to jedno słowo charakteryzuje ją dostatecznie. Trudno istotnie o silniejszy ekstrakt uczuć macierzyńskich, o doskonalsze uosobienie wyzwolonej w macierzyństwie kobiecości.

Matka haruje, matka walczy, boryka się z przeciwnościami, wspomaganą sprytem wrodzonym zataja przed całą wioską ucieczkę męża: haniębne swoje wdowieństwo. Troje dzieci i dziesięcioletnia starszuszka, to jej cały świat, i gdy na krótko w życie młodej jeszcze kobiety wkracza nowy mężczyzna, — pcha ją w te obec ramiona raczej pragnienie niemowlęcia, niż pragnienie występnych pieszczoł.

Duma i strach odwracają naturalny porządek rzeczy. Zamiast urodzić w spokoju, matka wyżywa się nocą, potajemnie owocem występnej miłości. Traci siły i zdrowie, a ciężki los przytłacza ją teraz raz po raz nową, coraz okrutniejszą tragedią. Kalectwo

córki, posepna śmierć tej nieszczęśliwej, bezbronnej dziewczyny; okupione śmiertcią gwałtowną błędy młodszego syna; małżeństwo starszego syna z kobietą oschłą i bezpłodną.

Zdaje się, że życie nie zawiera w sobie już żadnej radości, że tylko siąść i lkać w nieutulonym żalu, czekać rychłej śmierci ni by jedynego wyzwolenia. Aż tu szczęście niepojęte, szczęście tak ogromne, że trzeba je powitać krzykiem i potokiem gorących łez. Dziecko w rodzinie. Syn w rodzinie. Bezplodna dotychczas kobieta powiła syna!

Tak się kończy powieść, jedna z najpiękniejszych i najgłębszych, jakie wyszły spod pióra talentowanej autorki. Przekrój życia ubogiej wioski chińskiej, ciężka dola wieśniaków pokazane zostały w sposób wstrząsający, a każda z drugoplanowych nawet postaci jest zadziwiająco plastyczna, każda stanowi typ określony, i głęboko zapada w pamięć.

Jakże wzruszająca jest ta staruszka, której cała duma, cały wysiłek skierowane są ku temu, by przeżyć jeszcze jedną szatę śmierci; jak pełną dobroci, pokory niefalszowanej jest niewidome dziewczątko, którego słabe oczy wyżał do reszty gryzący dym kurnej chaty; jak niezapomniana wreszcie jest scena, gdy matka, uwiedziona przez rządce, zakrywa twarzę posągom w kaplicy przydrożnej, by nie oglądały jej haniebnego upadku. A wszystko to opowiedziane zostało z prostotą, bez zbytecznego patosu, bez użycia tanych, łatwych efektów.

Staranny przekład Stelli Landy nie nasuwa żadnych wątpliwości.

JERZY MARLICZ

WYDAWNICTWA PERIODYCZNE

NAUKA POLSKA

Ogromny rozrost nauki dawno już uczynił ją samą z kolei przedmiotem naukowych badań. Objętych metodologią, psychologią czy socjologią nauki a poświęconych z jednej strony badaniu metod postępowania naukowego i zagadnieniom psychologii twórczości naukowej, z drugiej zaś strukturze organizacyjnej i roli nauki w życiu społecznym. Te ostatnie szczególnie aspekty naukoznawstwa tym większego nabierają znaczenia, jeśli się weźmie pod uwagę stale rosnące skomplikowanie *organizmu* naukowego z jego wciąż wzrastającą ilością uczelni, instytutów i zrzeszeń, oraz stale również rosnący wpływ nauki na naszą kulturę.

Zagadnieniami potrzeb, organizacji i rozwoju nauki zajmuje się wspaniale wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego *Nauka Polska*, której ostatni (XXI) tom ukazał się parę miesięcy temu. *Nauka Polska*, założona i redagowana przez dra Stanisława Michalskiego, poświęcona jest „badaniu nauki, a mianowicie badaniu jej podłoża społecznego oraz warunków psychologicznych, w jakich nauka powstaje i rozwija się (psychologia twórczości naukowej). Nadto *Nauka* zamieszcza: artykuły poświęcone opisom dzisiejszego stanu nauki (jako instytucji społecznej) w Polsce i zagranicą, jej organizacji, rozwoju i potrzeb; kronikę życia nauki polskiej i zagranicznej oraz przyczynki do dzieł jej organizacji“. Tom ostatni, o imponującej objętości 453 stron, przynosi szereg interesujących rozpraw oraz bogaty — jak zwykle — dział informacyjny i recenzyjny.

Ponieważ w krótkim sprawozdaniu nie sposób i nie miejsce zdać sprawę z całego bogactwa treści dużego tomu, więc najwłaściwiej będzie ograniczyć się do wskazania paru najbardziej interesujących tematów.

Jeden z nich, najciekawszy być może, któremu przy tym poświęcono najwięcej stosunkowo miejsca, to zagadnienie konfliktu między oświatą a nauką, między nauczaniem a twórczą pracą badawczą. „Pomiędzy tymi dwoma zadaniami, tak sprzecznymi w zasadzie, prym oddać trzeba drugiemu zadaniam. Bez należytego spełnienia tego drugiego zadania żadna wyższa uczelnia nie jest w stanie godnie wypełnić pierwszego“. To stwierdzenie pierwszeństwa nauki czystej pochodzi z ust Józefa Piłsudskiego, a wypowiedziane jest w mowie z r. 1921 w Uniwersytecie Warszawskim i cytowane jest we wstępnym artykule Tadeusza Makowieckiego „Józef Piłsudski i nauka“. Gdyż Piłsudski dobra zedwał sobie sprawę z nieuniknionego konfliktu, rodzącego się z podwójnych zadań wyższych uczelni. Uprawianie czystej nauki i twórcza praca naukowa nie łatwo dają się pogodzić z obowiązkami nauczycielskimi w szesnastym, polegającymi na dostarczaniu społeczeństwu odpowiednio wykształconych fachowców.

Zagadnienie to poruszone jest w dwóch jeszcze rozprawach. Ogólnie, ze strony społeczno-kulturalnej, w pięknej pracy Bogdana Suchodolskiego „Badanie a nauczanie“, i bardziej szczegółowo, w nawiązaniu do praktycznych trudności, w artykule Jana

Rutkowskiego „Twórcza praca naukowa a uniwersytety“.

Praca pierwsza, owiana duchem rodzącego się dziś „nowego humanizmu“, jest wyrazem sprzeciwu przeciw obiektywistycznemu pojmowaniu i wartościowaniu nauki i nauczania jako czynności mających na celu przede wszystkim zdobywanie i rozpowszechnianie faktów, — sprzeciwu w imię rozumienia ich jednak jako środków do wzbogacenia wewnętrznej kultury intelektualnej badacza lub ucznia. Powszechnie do niedawna stanowisko pierwsze pociągano za sobą rozdział funkcji uczonego i nauczyciela, z których pierwsze był niestrudzonym łowcą faktów, drugi zaś miał je przekazywać i udostępniać innym. „Między nauką i oświatą granica jest nieprzekraczalna, badania naukowe, choćby najkromniejsze, są wzbogaceniem wiedzy i różnią się zasadniczo od pracy oświatowej, która jest tylko pośredniczeniem“ — pisze Suchodolski, referując zwalczany przez siebie pogląd. Według stanowiska drugiego, nie ma zasadniczej różnicy między nauką a nauczaniem, oba procesy są środkami raczej niż celami, prowadzącymi do wewnętrznego kształcenia człowieka, do rozwoju jego osobowości.

Jeśli chodzi o konsekwencje praktyczne, koncepcja ta „przeciwstawia się rozdzieleniu funkcji badawczych od funkcji nauczających i opowiada się za kształceniem przez uczestnictwo w badaniach naukowych“, gdyż najlepszą postacią nauczania jest nauczanie przez dopuszczenie do współdziałania we własnej pracy twórczej.

Wprost przeciwne stanowisko zajmuje Jan Rutkowski, rozważający zagadnienie to od strony organizacji szkolnictwa wyższego. Stwierdza on coraz bardziej pogłębiającą się różnicę między poziomem i charakterem twórczej pracy naukowej a poziomem i zakresem nauczania. Konieczność godzenia ze sobą tych dwóch funkcji w życiu naukowym profesorów wyższych uczelni prowadzi częstokroć do daleko idących konfliktów wewnętrznych, przez co cierpi bądź praca badawcza, bądź zadania nauczycielskie. A że z drugiej znowu strony, zdolności badawcze nie zawsze idą w parze z zamiłowaniem pedagogicznymi, przeto w wyniku otrzymujemy niemalże katedr naukowo lub pedagogicznie martwych.

Ponieważ radykalne rozwiązanie zagadnienia drogą reformy szkolnictwa wyższego jest dziś w naszych warunkach niemożliwe, autor proponuje rozwiązanie pośrednie, polegające na stworzeniu, obok zwykłych profesorów, odrębnej pozycji profesorów-badaczy, częściowo uwolnionych od większości zajęć nauczycielskich i nie obarczonych brzemieniem obowiązków administracyjnych.

Prócz wymienionych powyżej prac należy wspomnieć o artykule Konstantego Krzeczakowskiego „Stanowisko nauk praktycznych“, będącym próbą analizy metodologicznej i socjologicznej t. zw. nauk praktycznych, zaniadanych zazwyczaj przez metodologów nauki. Przez nauki praktyczne autor rozumie, najogólniej biorąc, umiejętności stosowane, a określa je jako badania nad celowym przekształcaniem i tworzeniem nowej rzeczywistości. „W naukach teoretycznych chcemy dochodzić praw, chcemy rozumieć rzeczywistość. Tutaj chcemy poznać sposoby (środki) tworzenia nowej, przez nas urojonej rzeczywistości, stwarzać podstawi racjonalnej, zamierzonej działalności“.

Charakter biograficzny mają prace Aleksandra Birkenmajera „Jak tworzył Kopernik?“ i Michała Korczewskiego „Emil Goldewski (senior) jako człowiek i badacz“ — piękny szkic o zmarłym przed sześciu laty uczonym, jednym z najznakomitszych fizjologów roślin, który „gdyby nawet w nauce nie był nie uczynił, gdyby w niej nie pracował, byłby także wielkim człowiekiem, dzięki wielkości swego ducha i charakteru“.

Prace Zygmunta Lisowskiego „Życie naukowe współczesnego Poznania“ i Mieczysława Haimana „Nauka polska w Stanach Zjednoczonych A. P.“ mają wraz z kroniką wartości czysto informacyjną, natomiast obfity jak zawsze w *Nauce Polskiej* dział recenzyj z książek, przeważnie w obcych językach, i bogata bibliografia naukoznawcza, są prawdziwymi skarbnicami. Obszerny dział sumiennych i wyczerpujących sprawozdań z najnowszych dzieł posiada dla czytelnika polskiego, pozbawionego zazwyczaj zagranicznych czasopism i książek, wyjątkową wartość, gdyż jest jedyną często drogą do zaznajomienia się z najnowszymi pracami z naukoznawstwa i dziedzin pokrewnych.

Tak samo zresztą należy ocenić całe wydawnictwo — szkoda tylko, że nie dociera ono do szerszych warstw naszej inteligencji, dla której, niestety, sprawy nauki są przeważnie obojętne i niezrozumiałe. Przyczyniłoby się może choć trochę do szerzenia rozumienia wartości i piękna nauki, a także do wywalczania nauce miejsca i roli, jaką mogłaby odegrać w naszym życiu, gdyby ją poczęto stosować nie tylko do techniki, ale także i do dziedziny stosunków międzyludzkich.

ORGANON

Światowemu czasopiśmiennictwu naukowemu przybyła nowa poważna pozycja w postaci wydawanego przez Kasę im. Mianowskiego wydawnictwa periodycznego *Organon*, *International Review*, którego pierwszy tom, objętości przeszło trzystu stron angielskiego i francuskiego tekstu, ukazał się przed paru miesiącami pod redakcją dra Stanisława Michalskiego.

Pismo jest poświęcone „nauce o nauce“, a ma spełniać na terenie międzynarodowym zadania odpowiadające roli *Nauki Polskiej* w kraju: obejmować w jednym organie ogół zagadnień, rozproszonych dotąd po czasopismach specjalnych filozoficznych, psychologicznych i socjologicznych, a wchodzących w zakres szeroko pojętego naukoznawstwa.

Doskonałą analizą tych zagadnień, służącą zarazem za program *Organonu*, jest wstępny artykuł Marii i Stanisława Ossowskich „The Science of Science“. „Nauka o nauce“. Autorzy rozróżniają na wstępie dwojakie znaczenie wyrazu „nauka“, a więc *funkcjonalne* (ogół czynności naukowych) i *stacyczne* (ogół naukowych prawd). Otóż sama nauka, zarówno w pierwszym jak i w drugim sensie, może być przedmiotem badania z dwóch głównych punktów widzenia: z *epistemologicznego*, poddającego analizie naukę jako narzędzie poznania świata, i z *antropologicznego*, traktującego ją jako jedną z dziedzin ludzkiej kultury.

„Nauka o nauce“ w pierwszym, epistemologicznym znaczeniu, sięga jeszcze greckich czasów. Antropologiczne, kulturoznawcze ujęcie jest czymś stosunkowo nowym, a narodziło się częściowo z badań historycznych i socjologicznych, częściowo z praktycznych potrzeb. Problematykę nauki o nauce autorzy dzielią na pięć głównych grup, mianowicie: 1) filozofię nauki, obejmującą przede wszystkim metodologię i teorię poznania, 2) psychologię nauki, badającą — najogólniej biorąc — psychiczną stronę twórczości naukowej, 3) socjologię nauki, poświęconą roli nauki w ogólnej kulturze i związkom między nauką a warunkami gospodarczymi i społecznymi, 4) problemy praktycznej organizacji nauki, i 5) zagadnienia historyczne.

Najbardziej być może istotne jest uzasadnienie przez autorów tej wagi, jaką przywiązują do naukoznawstwa. Płyne ona z zupełnie wyjątkowej roli, jaką odgrywa nauka w nowoczesnej europejskiej kulturze, która dzięki nauce właśnie posiada cechy w innych, przednaukowych kulturach niespotykane. Zasadniczymi jej rysami są zmienność i powszechność; posługiwanie się nauką nie tylko do opanowania pozaludzkiego otoczenia, lecz także do rozszerzania kontroli naukowej na ludzkie instynkty oraz społeczne i gospodarcze siły; podstawowe zmiany w koncepcji życia, wywołujące niespotykane dotąd konflikty między nauką a przeżytkami kultur przednaukowych (intelekt i podświadomość, racjonalizm i tradycyjne nawyki, nauka i religia).

W następnym z kolei essayu Jan Rozwadowski rozważa „Naukę, religię i sztukę“, dopatrując się ich wspólnego źródła w zdumieniu, radości, lęku i tęsknotach życiowych, i pojmując je jako konieczne składniki cywilizacji, będące wyrazem trzech różnych postaw wobec rzeczywistości.

Jasnością pojęć i trafnością ujęcia odznacza się rozprawa Fr. Bujaka „Działacz i badacz“, poświęcona rozróżnieniu tych dwóch społecznych typów, ich tworzywa i celów („Przedmiotem dla działacza są przede wszystkim ludzie a następnie środki techniczne“). „Badacz ma przede wszystkim do czynienia z naturą, kulturą ludzką oraz przyrządami“, charakteru („Zasadniczą postawą psychiczną obu typów społecznych jest, z jednej strony, niezadowolnienie z istniejącego stanu rzeczy, przejawiające się w krytyce lub opozycji, a z drugiej strony zaufanie do swoich sił umysłowych i technicznych. To wszystko sprawia, że jednostki takie starają się znaleźć nowe formy i nowe drogi, lepsze i doskonalsze od dotychczasowych“), środków i metod postępowania, organizacji pracy. Pewne zastrzeżenia budzi tylko wyrażona w w konkluzji uwaga, że działacze i badacze *are born* (rodzą się), a otoczenie społeczne może im pozwolić lub uniemożliwić rozwinięcie swych przyrodzonych zdolności. Wyniki współczesnych badań nad dziedzicznością wskazywałyby raczej, że ludzie ci właśnie *are made* przez środowisko, które nie tyle pozwala na rozwój ich wrodzonych skłonności, ile kształtuje tak lub inaczej.

Zapowiedzią przyszłej międzynarodowej współpracy jest odpowiedź Emila Borela na ankietę „Dokumenty do psychologii odkrycia w twórczości naukowej“, mającą na celu wykrycie mechanizmu twórczego w nauce na podstawie autobiograficznych materiałów, dostarczanych przez wielkich uczonych i badaczy. Uzasadnienie potrzeby takiej ankiety znajdujemy w zamieszczonym dalej liście A. B. Dobrowolskiego, zakończonym słowami: „Nie tylko pokazywać się ludziom na scenie ze skarbem odkryć i wynalazków, lecz poprowadzić też ludzi za kulisy, do samego laboratorium myśli; nie tylko darować im

swe trofea, lecz darować im również sekrety zwycięstwa, całą swą prawdę darować: na taki wspaniały gest stać chyba będzie twórców“, a pierwsza wydrukowana odpowiedź wielkiego francuskiego uczonemu jest ciekawym przyczynkiem, oświeclającym drogi, jakimi biegnie twórcza myśl matematyka przy rozwiązywaniu problemów.

Interesująca historyczna praca Kazimierza Dobrowolskiego „Kultura naukowa w Polsce do schyłku XV stulecia“ ma na celu odtworzenie procesu powstawania nauki na tle charakteru i społecznej struktury tej grupy, która ją reprezentowała, oraz na tle zadań, jakie nauce stawiano, i metod, jakie miała do rozporządzenia. Essay Aleksandra Birkenmajera „Jak tworzył Kopernik?“ rekonstruuje metody pracy i psychologię twórczości wielkiego astronoma.

Resztę tomu wypełnia przeszło stu pięćdziesięciostronicowe omówienie organizacji nauki polskiej, a kończy go piękne wspomnienie Czesława Białobrzeskiego o Marii Skłodowskiej-Curie, „największej kobiecie-uczonej w historii ludzkości“.

Ponieważ zarówno bogata treść jak i strona zewnętrzna wydawnictwa stoją na bardzo wysokim poziomie, można mieć nadzieję, że zainteresuje się nim międzynarodowy świat naukowy, tym bardziej, że jest to jedyny dziś na świecie czasopismo naukoznawcze o tak szerokim i wszechstronnym programie.

Wszakże dobrze by było, gdyby w następnych tomach zabrzmiała pewna nuta, której w pierwszym nie ma, a która właśnie w *Organonie* winna dźwięczeć jak najsilniej. Kultura nasza jest już dziś niewątpliwie kulturą naukową, lecz — niestety — dosyć jednostronnie. Zrozumienie wartości nauki i stosowanie jej w zakresie opanowywania przyrody jest już powszechne. Fizyka, chemia, biologia i ogólnie zastosowanie naukowych metod w produkcji przyczyniły się do niebywałego wzrostu światowego bogactwa i oszczędności ludzkiej energii i zdrowia. Lecz równocześnie drobna zaledwie cząstka ludzkości korzysta w pełni z dobrodziejstw cywilizacji, podczas gdy reszta pozbawiona jest pracy, głodna, obdarta i nieoświecona; lecz równocześnie świat pogrąża się z dniem każdym coraz bardziej w otchłoność zbrojeń, przygotowań wojennych, psychoz „obrony“ i wzajemnej nienawiści.

Nie można powstrzymać się od oskarżenia nauki. Nie dlatego, że „nauka obdarzyła ludzkosć techniką przemysłową, pozbawiającą miliony ludzi pracy“, i „techniką wojenną, przynoszącą milionom ludzi śmierć“, lecz dlatego, że nauka dała ludzkości narzędzia, nie wychowawszy jej odpowiednio i nie nauczając się z nimi obchodzić. Na to, aby poprawić życie ludzkie, nie wystarczyło podnieść na niespotykany dotychczas poziom wytwórczości dóbr. Trzeba było walczyć o rozdział dóbr materialnych tak samo, jak się walczyło o powszechny rozdział oświaty. Jednostronne zastosowanie metod naukowych do produkcji, bez równoczesnego zastosowania ich do organizacji konsumpcji, musiało doprowadzić do klęski. Dostarczenie ludziom dział szybkostrzelnych, samolotów i gazów trujących bez równoczesnej walki z politycznymi tradycjami suwerenności, nacjonalizmu i międzygrupowej nienawiści, musiało uczynić wojny nierównie krwawszymi niż dotąd.

Winę ponosi tu niewątpliwie nauka, której zadaniem było przejęcie w swoje ręce rządu dusz, walka w imię etyki i prawdy z wpływami polityki, szeregającej namiętności i wywołującej światowe pożary. Lecz uczeni nie zdawali sobie sprawy i dotychczas jeszcze przeważnie nie zdają z ciężkości na nich etycznych i społecznych obowiązków.

Nauka jest powszechna i nie zna narodowych czy rasowych różnic. Nauka jest sceptyczna i nie ulega hasłom politycznych agitatorów. Nauka nieustannie się rozwija i nie zna skostnienia politycznych i gospodarczych form. I dlatego naczelnym zadaniem społecznym uczonych powinno być nie samo podawanie faktów, lecz również szerzenie postawy naukowej, gdyż kulturalne znaczenie nauki leży nie tyle w wynikach, ile we wpływie na psychikę ludzką. Tylko tą drogą można ulepszyć świat, lecz zadanie to wymaga zbio rowego wysiłku uczonych, nie uświadomionych sobie reprezentowanej przez nich potęgi.

Dlatego coraz bardziej niepokoi spokój i beztroška uczonych, którzy — z nielicznymi wyjątkami — zdają się być ślepymi i głuchymi na to, co się dzieje za ścianami ich laboratoriów, i zapominają, że dzisiejsi żołdacy niewiele się różnią od tych, z których rąk zginął Archimedes. Dlatego obowiązkiem wszystkich uczonych i wszystkich ludzi reprezentujących i rozumiejących kulturę jest uderzenie w dzwon alarmowy. Obowiązek ten ciąży na nauce przede wszystkim, gdyż ona to ma bezpośredni wpływ na miliony młodzi. Zadanie pracy nad poprawą świata spoczywa na barkach uczonych, i pismo poświęcone sprawom nauki i jej roli w cywilizacji powinno w imieniu nauki walczyć o najważniejszą sprawę dzisiejszego świata — o sprawę pokoju.

MIECZYSLAW CHOYNOWSKI *

PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNY

Z wzorową punktualnością ukazał się Nr. 8 (172) — z sierpnia — *Przeglądu Współczesnego* i przynosi treść bardzo interesującą. Literackie artykuły dotyczą dwóch pisarzy obcych. Władysław Floryan poświęca L. Pirandellowi rozprawę gruntowną i dojrzałą informującą; Heleny Frejlich „szkic do portretu” p. t. *Gustaw Flaubert* interesuje jako praca autorki dwóch obszernych książek francuskich o Flaubercie, z których jedna (*Flaubert d'après sa correspondance*, Paris 1933) była nagrodzona przez Akademię Francuską. Groźne i wysoce sporne zagadnienia porusza prof. Marian Zdziechowski w artykule *Z historii stosunków polsko-rosyjskich nazajutrz po wojnie światowej*. Informacyjny charakter ma praca Dymitra Doroszeńki *Rozwój ukraińszczyzny na tle ewolucji ukraińskiej myśli narodowej* oraz dokończenie historycznego szkicu Hipolita Grynwasera *Przywódca i „burzyciele” włościan*. Poza tym jest tu dokończenie pracy Stefana Świeżawskiego o Bedzie i ostateczne zamknięcie polemiki pomiędzy Tadeuszem Estreicherem a Leonem Wachholzem na temat zasług dwóch sławnych fizyków krakowskich, profesorów Wróblewskiego i Olzewskego.

Gwoździem numeru są jednak dwie prace redaktora naczelnego *Przeglądu*, prof. Stanisława Wędkiewicza. Pierwsza nosi tytuł: *Poza prawem, przeciw prawu, w obronie prawa* i jest niezwykle interesującym i popartym obfitą a nader cenną bibliografią studium na temat różnych *outlaws*, wykołobajców i ludzi pokłóconych z prawem i obyczajem społecznym. Podjęta do napisania tego studium były głosy prasy francuskiej o bohaterze *Harnasiów* Szymonowskiego i o filmie czeskim *Yanosik le rebelle*. O hogactwie poruszonych tu spraw może dać pojęcie wyczerpujące rozdział o *A nous la liberté*. — Cyganeria artystyczna. — *La pègre — le milieu*. — Złoczyńcy-bohaterzy. — Zdrodnia w literaturze i na filmie. — Powieść policyjna. — Reportaże sądowe. — *L'argot de la pègre*. — „Aferki”. — Policja. — Więziennictwo. — Sędziowie. Adwokaci. — W obronie prawa i praworządności. Druga praca prof. Wędkiewicza jest bardzo krótka, lecz niemniej substancjonalna. Artykuł p. t. *Erasmus Roterodamski* jest formalnie recenzją z francuskiej książki L. Gautiera Vignala: *Erasmus* (Paris 1936, Payot), — ale o samej tej książce czytamy tylko parę zdań: że ma rozsądną przedmowę i trafny epilog, nie daje jednak „plastycznej wizji wydarzeń, tak nam dzisiaj (dziwnie bliskich), lecz tylko „kolekcję dat i nazwisk, niestopionych w organiczną syntezę”. Za lepszą uważa autor książkę o Erasmusie Stefana Zweiga, znaną u nas z polskiego przekładu; nie jest ona wolna od „zbyt przejrzystej tendencji”, ale może „wywołać trwalszy oddźwięk i głębszy namysł”. Najciekawsze jednak w tym krótkim artykuliku jest to, co autor mówi od siebie na temat osobistości Erazma i analogii jego czasów z naszymi. Przychodzi do wniosku, że Erazm był „zanimy”. Najciekawsze jednak w tym krótkim artykuliku jest to, co autor mówi od siebie na temat osobistości Erazma i analogii jego czasów z naszymi. Przychodzi do wniosku, że Erazm był „zanimy”. Najciekawsze jednak w tym krótkim artykuliku jest to, co autor mówi od siebie na temat osobistości Erazma i analogii jego czasów z naszymi. Przychodzi do wniosku, że Erazm był „zanimy”.

Rocznica Erazma przypadała na moment dziwoj równie burzliwy i przedmowy, jak był rok śmierci wielkiego humanisty. Jedność duchowa Europy leży w gruzach: „wieczny pokój” okazał się mrzonką; nacjonalizmy osiągnęły napięcie żywiołowe paroksyzmu; toczy się nowa wojna „religijna”, gdyż religijny nabrał charakteru przeciwieństwa dwu wrogich obozów: komunizmu i faszyzmu. Mówić o braterstwie i zgodzie — znaczy narazić się na piętno masona. Wołać o rozbrojenie i pokój — równa się recytowaniu mdłych i o mieszonych frazesów. Niestety rola mentorów i głosicieli pojednania dostała się w niepowołane ręce. Międzynarodowe kongresy stały się areną popisów dla modnych retorów i wytwornych koniwojazerów-prelegentów. Różne instytuty „kooperacji intelektualnych”, komitety w swych zamierzeniach i nieudolne w swych poczynaniach, skompromitowały zdrową ideę ponadnarodowego porozumienia literatów i uczonych. Jak za czasów Erazma, intelektualisci dzisiejsi ogłaszają artykuły pełne komplementów i pacyfistycznych zapowiedzi, a Europa cała tonie w nienawiści i gotuje się do nowej orężnej rozprawy. Gładkie frazesy, piękne formuły, stylistyczne zabawy, a tymczasem nie tego nam dzisiaj potrzeba, ale nieskazitelnych charakterów, bezkompromisowej uczciwości i zbawczych czynów. Erazmów nam dzisiaj niebrak, intelektualizm osiąga wyżyny nigdy przedtem niezdołane, a nauka rozwija nigdy przedtem nieprzejęwaną twórczość. Brak nam natomiast apostołów, którzy by przekonali zważnione narody o konieczności odrodzenia w naszych „sumieniach” zasad elementarnej etyki, — etyki, opartej na dekalogu, na uczciwiej pojętej miłości bliźniego.

Przegląd Współczesny utrzymuje w naszej prasie najwyższy poziom kulturalny. Powinien być pilnie i powszechnie czytany. Nie wierzę w dobrą orientację kulturalną inteligenta, który tego pisma nie czyta. A spotykam często ludzi, którzy nawet nie wiedzą o istnieniu miesięcznika prof. Wędkiewicza. I to spotkanie wśród literatów, a zwłaszcza literatek — czasem nawet bardzo sławnych. Pismo wychodzi bez przerwy rok piętnasty!

L. P.

NOWE KSIĄŻKI

POWIEŚĆ

GIONO: *Wielka trzoda*. Powieść. Z upoważnienia autora tłumaczył Henryk Leśniewski. Warszawa (1936). „Renaissance”. Str. 224.

Jest to pierwszy polski przekład francuskiego autora regionalnego, który przed kilku laty zdobył we Francji (i w Niemczech) znaczne powodzenie. Przetłumaczona obecnie powieść (*Le grand troupeau*) daje odzwierciedlenie wielkiej wojny na tle wiejskiego i malomiasteczkowego życia w Prowansalii. Wydawca polski — z nieudomowionym przeżyciem — skonfiskował autorowi imię chrześcijańskie: wszystkie powieści oryginalne tego autora podpisane są imieniem i nazwiskiem — Jean Giono, a nie sanym nazwiskiem.

HISTORIA LITERATURY

MARIA OSTROWSKA: *T. T. Jez* (Zygmunt *Milkowski*). Życie i twórczość. Kraków 1936. Prace Historyczno-Literackie Nr 49—50. Str. 626.

Monografia T. T. Jez jako powieściopisarza była bardzo potrzebna i przychodzi w porę. Pożyteczność jego powieści, przez pewien czas zapomnianych, wzmagają się wyraźnie. O tym, w jaki sposób powyższa obszerna praca spełnia widzione swe zadanie, poinformuje *Pion* swych czytelników w osobnym omówieniu.

HISTORIA

JÓZEF KRZYŻANOWSKI: *Proces Janosika*. Warszawa 1936. Odbitka z (Nr. 170, 171) *Przeglądu Współczesnego*. Str. 40.

Bardzo zajmujące a zarazem ścisłe, na dokumentach oparte studium rzeczowych losów i charakteru postaci, która w legendzie poetyckiej słowackiej i polskiej pozyskała nieśmiertelny żywot fikcyjny. Do studium dołączone są odpisy oryginalnych dokumentów w języku łacińskim i słowackim.

PAMIĘTNIKI

Karabin i nosze. Wspomnienia lekarzy i farmaceutów z lat 1914—1920. Tom I. Warszawa 1936. Nakładem Koła Wydawniczego oficerów Korpusu Sanitarnego. Str. 336.

Major dr Stanisław Konopka, redaktor *Lekarza Wojskowego*, w przedmowie do tej okazałej wydającej publikacji tak przedstawia jej powstanie: „Redakcja *Lekarza Wojskowego*, chcąc godnie uczcić dzień święta (dziesięciolecie pracy gen. dr. Rouperta na stanowisku szefa Departamentu Zdrowia M. S. Wojsk.) postanowiła wydać osobny numer poświęcony P. Gen. Rouppertowi. Uważaliśmy, że najniższą pamiętką dla naszego Kierownika służby zdrowia będą wspomnienia lekarzy i farmaceutów wojskowych z okresu walk legionowych i z innych polskich formacji w czasie wojny światowej, oraz z okresu wojny polsko-ukraińskiej i wojny polsko-rosyjskiej... Chcąc zbiór tych wspomnień udostępnić, wydajemy go teraz w nieco zmienionej postaci jako osobną książkę, jako pierwszy tom wspomnień lekarzy i farmaceutów z lat 1914—1920”. Na tom składają się 26 prac podzielonych na trzy grupy: 1. Legiony polskie; 2. Inne formacje polskie; 3. Polska niepodległa. — W tekście zamieszczono sporo interesujących fotografii i reprodukcji charakterystycznych dokumentów. Tom zaopatrzone doskonałymi spisami nazwisk i miejscowości. Zebrany przez redaktora materiał był tak obfity, że nie dał się zmieścić w jednym tomie; przewiduje się kontynuację wydawnictwa.

PUBLICYSTYKA

ZBIGNIEW KRASUSKI: *Zamierzeniu organizacyjnemu*. Warszawa 1936. Str. 44.

Bardzo zachęcające brzmienie dołączone do tej broszury ułotki: „...znajdziemy tu do pewnego stopnia rozstrzygnięcie zagadnienia, w jaki sposób winno zorganizować się polskie społeczeństwo. Poza tym autor stara się wskazać cele i idee, jakie wytknąć powinna sobie w osobistym życiu jednostka, rodzina, stowarzyszenia i społeczeństwo, ażeby życie nabrało więcej uroku i stało się dla wszystkich Polaków miłym i celowym”.

WYDAWNICTWA PERIODYCZNE

ROCZNIK LITERACKI. Za rok 1935. Pod redakcją Zofii Szymulskiej. Warszawa 1936. Instytut Literacki. Str. 344. Zł. 10.—

Czwarty tom *Rocznika Literackiego* zawiera treść następującą: K. Irzykowski: *Drugi slawy i drogi literatury*. W. Sebyła: *Liryka*. K. Irzykowski: *Dramat*. L. Piwiński: *Pociąg*. St. Piwoń: *Wzniesienia literackie*. Al. Brückner: *Wydanie sejmowe Mickiewicza*. Przekłady omawiają: W. Chwałewski z literatury angielskiej i anglo-amerykańskiej, H. Elzenberg z francuskiej, St. Eszmannowski z hiszpańskiej, J. Birkenmajer z greckiej i łacińskiej, Z. Lempiecki z niemieckiej, R. Blüth z rosyjskiej, J. Birkenmajer z rumuńskiej, St. Kołaczowski z literatury skandynawskich, J. Gołębek z słowiańskich, St. Pazurkiewicz z literatury węgierskiej, M. Brahmer z włoskiej i St. Flukowski z żydowskiej. Następnie idą prace: K. Górski: *Literatura podróźnicza*. St. Furmaniak: *Literatura pamiętnikarska*. Z. Klingerowa: *Książki dla dzieci i młodzieży*. J. Krzyżanowski: *Budownictwo literatury*. M. Kridl: *Teoria i krytyka literatury*. T. Makowiecki: *Literatura felietonowa*. H. Elzenberg: *Estetyka*. W. Bąk: *Czasopisma literackie*. St. Flukowski: *Kronika*. P. Grzegorzczak: *Literatura polska w przekładach*. — Nowy tom tego wysoce pożytecznego wydawnictwa omówi w jednym z najbliższych numerów *Pionu* prof. Stanisław Adameczewski.

DROGA. Miesięcznik poświęcony sprawie życia polskiego. Warszawa, lipiec 1936. Rok XV. Nr. 7—8. Str. 533—552. Cena numeru Zł. 2.—

Wakacyjny, podwójny numer *Drugi* zawiera prace następujące: Irena Gałęzowska w artykule

W kraju młodych, pisany z znajomością rzeczy i wielką swadą stylistyczną, podaje charakterystykę ideologii wychowania młodzieży w trzech dzisiejszych państwach — we Włoszech, w Rosji i w Niemczech. — O studium Henryka Kopicia *Kryzys klasy politycznej w Polsce w świetle statystyki* wspomnieli już *Pion* w numerze poprzednim z racji wydania tego studium w osobnej odbite. Rzeczą Wacława Borowego *Bakaturz z Cambridge w Polsce XVI-go wieku* podaje ciekawe informacje o dwóch Anglikach, z których jeden — Sir Stephane Powle — interesował się Polską i korespondował z Adamem i Piotrem Gorajskimi, a drugi — Fynes Moryson — podróżował po Polsce i w opisie swych podróży po Europie i Azji (wydanym w r. 1617) sporo miejsca Polsce poświęcił. — W dłuższym artykule omawia *Grańce* Z. Nulkowskiej Ludwik Fryde. — Olgierd Górka drukuje zakończenie pracy p. t. *Koncepcje upadku Polski a fakt odrodzenia*. — Z rzeczy literackich mamy wiersze Stefana Flukowskiego i Romana Kolonickiego oraz fragment powieści historycznej Tadeusza Parnickiego (z czasów antycznego Rzymu) pod bardzo niepowieściowym tytułem *Walka o dyktaturę*. — W dziele sprawozdawczym S. F. omawia niedawno wydany tom IV *Dzieł wszystkich* Stanisława Brzozowskiego, a K. Winkler ostatnie wystawy (Szukalski, Wojciech Kossak i fotografie Marszałka Piłsudskiego). — Wśród recenzji zwraca uwagę piękny artykuł Stefana Flukowskiego o pierwszych dwóch tomach trylogii Hermirii Naglerowej *Krauzowie i inni*.

OKOLICA POETÓW. Miesięcznik. R. II. Nr. 8 (17). Ostrzeszów, 25 sierpnia 1936. Redaktor i wydawca Stanisław Czernik. Str. 24. Prenumerata roczna Zł. 8.— numer pojedynczy Zł. 0.75.

Numer składa się z wierszy i z rozważań teoretycznych na temat: *Jak powstaje wiersz*. Wiersze pisali: Stanisław Piętań, Ludwik Świeżawski, Stefan Napierski, Stanisław Bąkowski, Henryka Łazowertówna, Tadeusz Zakiej, Bronisław Przyłuski, Artur Rzezyca, Xenia Zytomirska, Stefan Szajdak i Zdzisław Kempf (przekłady z japońskiej liryki współczesnej); rozważania — Ignacy Fik, Stanisław Piętań i Mieczysław Jastrun. Poza tym teorią zajmują się Alfred Łaszowski i redaktor miesięcznika Stanisław Czernik. Redaktor napisał również recenzję z *Prowincji* Jerzego Piętkiewicza. W zakończeniu tej recenzji redaktor powiada: „Gdy czytam *Prowincję* Piętkiewicza, poematy Piętańskiego, liryki Ożoga, widzę, że nowy okres bujnej poezji już się rozpoczął”. — *Optymista*.

ARKADY. Rok II. Nr. 8. Warszawa, sierpień 1936. Redaktor: Wanda Filipowiczowa. Str. 423—474. Cena zeszytu Zł. 3.

Pięknie wydany, drukowany doskonałym Walbaumem nowy numer *Arkady* zawiera treść następującą: J. Hryniewiecki: *Ostatnie dzieło Czesława Przybylskiego* (entuzjastyczna ocena willi na Królewskiej Górce, zilustrowana przedślicznymi fotografiami jedno- i wielobarwnymi Cz. Olzewskego). — M. Walkiewicz: *Gotyki wielkopolski* (doskonałe fotografie obrazów i rzeźb z wielkopolskich kościołów prowincjonalnych). — A. Wyleżyńska: *Życie muzeum* (Louvre). — M. Gronostajska: *Mezostroń* — mauzoleum w Cavtat (z licznymi reprodukcjami). — Z. Niesiołowska-Rothertowa: *Przegląd grafiki*. — W. T.: *Pracownia grafiki użytkowej* przy A. S. P. w Warszawie. — J. Giżycki: *O sztuce murzynskiej* (z ilustracjami). — S. Śmietana: *Standary i proporce*. — Dział „Pod arkadami” przynosi śliczną pamiętkę po Noakowskim: opowiadanie jego z rysunczkiem, zapisane w t. zw. książce „madralskiej” (w Donu wypożyczynkowym Kasy im. Mianowskiego nad Świdrem). Do tego dodany jest artykuł *Nieszawa Noakowskiego* z dwiema fotografiami kościoła w Nieszawie i dwoma rysunkami Noakowskiego na temat tegoż kościoła. Artykuł i fotografie Cz. Olzewskego. Zeszyt uzupełnia kronika.

Wszystkie książki i książki wydawnictwa periodyczne (miesięczniki, kwartalniki, roczniki), nadsyłane do *PIONU*, notowane są w dziale „Nowe Książki” i zaopatrywane — w miarę możliwości — w krótkie notki informacyjne. Recenzje dłuższe umieszcza redakcja podług własnego uznania i wyboru. PP. Wydawcy proszeni są o nadsyłanie swych wydawnictw — o ile to możliwe — w dwóch egzemplarzach.

SPRAWY ROSYJSKIE

DYSKUSJA O POWIEŚCI W KOMUNISTYCZNEJ AKADEMII

W Związku z przygotowaniem tomów sowieckiej *Encyklopedii Literackiej* zorganizowano w Instytucie Literozofii Akademii Komunistycznej zebranie, na którym przeprowadzono dyskusję nad pracą Georga Lukácsa: *Zagadnienia teorii powieści*. (G. Lukács znany jest z książki wydanej po niemiecku w Berlinie w r. 1920 p. t. *Die Theorie des Romans*). Według stenogramów, zamieszczonych w 2 i 3 numerze miesięcznika *Liternyj Kritik* z 1935 r., główne tezy autora zostały oparte na sądach Hegla i Marxa, przeciwstawiających powieść okresu burżuazyjnego eposowi Homera. Heroizm i patos autycznej poezji wynikał — zdaniem Lukácsa — z jedności społeczeństwa i indywidualnej osobowości. Toteż gły w okresie kapitalizmu powstaje wyraźny rozdział między jednostką a społeczeństwem, gdy rozwój materialnych sił oraz wzmocnienie przemysłowej wytwórczości

coraz bardziej poczęło usuwać w cień znaczenie pojedynczych ludzi, niemożliwe stało się wkręcenie dawnego eposu. Na zmianę przychodzi mu powieść, będąca wyrazem „heroicznej walki” jednostki z otaczającą ją prozą burżuazyjnego społeczeństwa.

Następnie przechodzi Lukács do podziału historii powieści w okresie burżuazyjnym na kilka etapów, zastrzegając się, że podział ten da się przeprowadzić tylko w najgrubszych zarysach, gdyż ogólną linię ewolucji powieści komplikuje ogromnie nierównomierny rozwój form społecznych w poszczególnych krajach Europy. Pierwszy okres „powieści in statu nascendi” — przypada na czas powstania burżuazyjnego społeczeństwa. Wielec pisarze tego okresu (Rabelais, Cervantes) walczą jakby na dwa fronty: przeciw średniowiecznemu feodalizmowi i przeciw kształtującym się formom burżuazji. Jako znamienne cecha stylu tego okresu występuje „realistyczna fantastyka”, niekiedy pojawiająca się także i w następnym okresie (Swift, Voltaire). Następuje on w związku z pierwszym etapem nagromadzenia dóbr przez burżuazję. Rozwój powieści zaznacza się zwłaszcza w Anglii (Defoe, Fielding, Smollett i in.). Zacieśnia się szeroki horyzont fantastyki, fabuła i charakter stają się coraz bardziej realistyczne („opanowanie powszedniej rzeczywistości”), a pisarze bezskutecznie starają się wytworzyć dodatni typ nowego burżuazyjnego bohatera. Jednocześnie zaznacza się dążenie do swobody uczuć (Richardson, Rousseau, *Werther*), co niekiedy doprowadza do subiektywnego relatywizmu i rozkładu form powieści (Sterne).

Następny okres, nazwany przez Lukácsa „poezją duchowego, zoologicznego królestwa”, ujawnia całą prozę ideałów i życia burżuazji i w ten sposób kształtuje romantyzm, subiektywną, idealistyczną walkę z kapitalizmem, pojmowaną jako „los”. Ale wielu pisarzy tego okresu (Balzac, Stendhal) dążą do realizmu drogą przełamania tendencji romantycznych. Nastaje wreszcie okres „nowego realizmu”, ideologicznego upadku burżuazji i samodzielnego wystąpienia rewolucyjnego proletariatu (1848), pociągającego za sobą zaostrenie się klasowego antagonizmu. Ale im gwałtowniejsza staje się walka burżuazji z proletariatem, tym rzadziej pojawia się ona w powieści burżuazyjnej. Nowy realizm coraz bardziej oddala się od indywidualizowanych i typowych obrazów, dążąc do przedstawienia średniego, przeciętnego człowieka i ukazania go w zwykłych sytuacjach. Wskutek tego akcja traci epicki charakter, a zamiast opowiadania coraz częściej występuje analiza ludzkiej psychiki. W epoce imperializmu zachodzi ostateczny rozkład form powieści (Proust, Joyce). Powieść więdnie w społeczeństwie burżuazyjnym po to, aby tym bardziej olśniewająco rozkwitnąć w Z.S.R.R. („Perspektywy socjalistycznego realizmu”). Z form klasowej walki proletariatu wynika obraz świadomego robotnika jako typu idealnego bohatera, którego tak bezskutecznie pono szukała powieść burżuazyjna. Najostrzejszą krytyką tego bohatera nie naruszony jako ideału, gdyż skierowana jest na elementy wpływu wrogiej klasy i nie odnosi się do wewnętrznej istoty proletariatu. Budownictwo socjalistyczne i walka z wrogami klasowymi usuwa przyczyny „degradacji” człowieka, gdyż postępn nie jest tu sprzeczny z rozwojem ludzkich zdolności. Następuje zlanie się jednostki ze społeczeństwem o wiele doskonałsze niż było to w Homerowej Grecji, wskutek czego we wszystkich dziedzinach sztuki, a zwłaszcza w powieści, zaznacza się tendencja do eposu.

Po odczycie rozwinęła się dyskusja. Początkowo umiarkowana, rozważna i obwarowana zewsząd zdawkowymi grzecznościami, przeistacza się nagle w namiętą polemikę, która zajęła sobą trzy kolejne zebrania. Burzę tę wywołało wystąpienie W. F. Pierwierzewa, znanego głównie z polemiki, jaką swego czasu (około r. 1925) przeprowadził z t. zw. „szkołą formalistów”. Z początkowały przezeń kierunek badań literackich, dominujący przez kilka lat w nauce sowieckiej, został potępiony około r. 1929 jako „wulgarnie socjologizowanie”, nie idące całkowicie po linii wskazań Marxa i Lenina. Wbrew twierdzeniu D. Mirskiego, który zarzucał referatowi zbyt wysoki poziom, utrzymując, że z wyjątkiem Marietty Szaginian wywodów jego nie rozumie chyba żaden z literatów sowieckich — Pierwierzew nie ukrywa swego rozczarowania. Niesłusznie wydaje mu się zwłaszcza założenie referatu, twierdzące, że epos powstaje tylko tam, gdzie istnieje całkowita jedność indywiduum i społeczeństwa, tam zaś, gdzie tego nie ma, epopeja przeistacza się w powieść. Wszakże aby dowieść słuszności tego założenia, trzeba by wykazać: 1. że epopeja istnieje tylko w starożytności, czemu przeczyła twórczość takich epików jak Tasso, Milton, Klopstock i in. i 2. że powieść rozwija się tylko w okresie burżuazyjnego społeczeństwa, co znów stanęłoby w sprzeczności z takimi faktami historycznymi, jak *Satyrykon* Petroniusza, lub *Złoty osioł* Apulejusza. Wywody Lukácsa grzeszą także przeciw zasadom logiki, gdyż

z jego założenia wynikałoby, że w ustroju socjalistycznym, idealnie realizującym jedność osobowości ludzkiej ze społeczeństwem, oczekiwać należy zaniku powieści, a nie jej niezwyklej rozkwitu. Można by też, przyjmując założenie referatu, spytać go, dlaczego brak jest eposu w tych okresach, gdy burżuazja podczas rewolucyjnego wrzenia realizowała ów warunek jedności społeczeństwa i poszczególnych jego obywateli, lub w tych klasach, które podobnie jak proletariariat zawsze, nawet w ustroju kapitalistycznym, stanowią jednolitą, harmonijną całość. Jest to — zdaniem Pieriewierziewa — kardynalne lekceważenie walki klas i nieuzasadnione ograniczanie jej do walki o indywidualność poszczególnych jednostek.

W odpowiedzi na wystąpienie Pieriewierziewa, kilkakrotnie przerywane okrzykami z audytorium, zabrali głos Usiejewicz i Nusinow. Uchylili się od jasnej i wyraźnej odpowiedzi na zarzuty i wątpliwości, wysunięte przez Pieriewierziewa, uciekając się do zjadliwych wycieczek osobistych: wypominając mu „mieńszewickie“ stanowisko z przed r. 1929 w t. zw. „pieriewierzianstwie“, lub zniekształcając sens jego wypowiedzi. Pieriewierziew nie dał się tym zbici z tropu i w powtórnym wystąpieniu dokładniej jeszcze sprecyzował swe wątpliwości. W odpowiedzi na zarzut, że nie uwzględnił obiektywnego, estetycznego kryterium, skoro zalicza do epiki sztuczne jej objawy z okresu burżuazyjnego, stwierdza, że uznaje istnienie takiego kryterium, ale uważa, że zastosowanie jego przez badacza naukowego może zniekształcić obraz historyczno-literackiego procesu wskutek odrzucenia wielu malowarstościowych utworów. „Przyszedłem tu — powiada w końcu — dla rzeczowego omówienia zagadnień teorii powieści, a nie po to, by podejmować taką — istotnie przedpotopową dla mnie sprawę — jak pieriewierzianstwo“.

Słowa te nie pozostały bez skutku. Na wątpliwości Pieriewierziewa rzeczowo i lojalnie — chociaż nie bez złośliwości — odpowiedział Grib, argumentując wyłącznie niemal autorytetem Marxa i Engelsa. Marx nakazuje badanie zjawisk w najbardziej typowej formie ich rozwoju, a taką formą dla eposu jest epos grecki, a dla powieści — powieść burżuazyjna. Pozostałe przejawy obu tych rodzajów nie posiadają większego znaczenia. Epos średniowieczny i burżuazyjny jest zjawiskiem sztucznym, a w takich utworach jak *Utrącony raj* Milтона cenna jest nie epika, ale rewolucyjny liryzm. Aby stwierdzić przewagę powieści w okresie burżuazyjnym, wystarczy zauważyć, że większość znakomych powieściopisarzy świata przypada właśnie na czas XVIII i XIX stulecia. W antycznej literaturze powieść występuje dopiero wtedy, gdy dawny ustrój społeczeństwa rozpada się pod wpływem ekonomicznych i handlowych przemian. Przytem zjawia się tu ona w niedojrzalej formie, w której zewnętrzna struktura utworów i ich wewnętrzna motywacja połączone są ze sobą czysto mechanicznie (losy głównych bohaterów nie wypływają z organicznego konfliktu ich ze środowiskiem, ale są przypadkowe, jak w powieściach awanturniczych). Ten sam schemat fabuły (miłość dwojga kochanków z przeszkodami, szczęśliwie pokonanych) przybiera zupełnie inne kształty w literaturze burżuazyjnej (por. Fieldinga *Tom Jones*). Marx wyjaśnia także, dlaczego nie mógł powstać epos w okresach rewolucyjnego wrzenia burżuazyjnego społeczeństwa. Heroizm tych okresów wynika z wewnętrznej iluzji, z „samooszukiwania się“, jest zjawiskiem sztucznym, dalekim od prawdy antycznego heroizmu i może być przedmiotem tylko lirycznych utworów. I dziś także w socjalistycznym realizmie nie może być mowy o eposie w formie klasycznej, gdyż Marx wyraźnie przeczy możliwości jego wskrzeszenia. Jedność osobowości i społeczeństwa w starożytności i w socjalizmie wpływa w zupełnie różnych podziałach — ustrój rodowy, tu — komunizm. Nowa sztuka socjalistyczna łączy w sobie wartości sztuki antycznej z estetycznymi zdobyczami burżuazji.

Wystąpienie Griba wywołało dość duże wrażenie. Ruszono lawą do ataku na Pieriewierziewa, wspominając mu wciąż działalność z przed 1929 r. i za wszelką cenę starając się zaasekurować przed ewentualnym posądzeniem o podzielenie jego poglądów. W szczególnie kłopotliwym położeniu znaleźli się ci mówcy, którzy, zabierając głos jeszcze przed wystąpieniem Pieriewierziewa, doszli w niektórych swych wywodach do wniosków podobnych, choć znacznie ostrożniej sformułowanych (Focht, Timofiejew, Rosenfeld). Osamotniony Pieriewierziew

musiał się wycofać z placu boju. W ostatnim wystąpieniu prosi, aby nie brać zbyt dosłownie wszystkiego, co powiedział poprzednio, podkreśla swą lojalność (choć „bezpартijną“) wobec komunizmu i stara się oddzielić od zarzucanego mu wciąż „pieriewierzianstwa“, podkreślając, że dla niego „jest już skończony etap“. „Czy wypracowałem to, co by można było nazwać marxowsko-leninowską koncepcją literatury? — pyta w końcu. Oczywiście nie — odpowiada — bo i naokoło wszystko znajduje się jeszcze w procesie formowania się i wzrostu. I ktoś może pochwalić się, że tę koncepcję znalazł?“ Przyznaje wreszcie, że po przemówieniu Griba niektóre jego wątpliwości zostały rozwiane, ale mimo obietnicy, danej w końcu przemówienia, nie określa ich bliżej, obawiając się zapewne nowych ataków swych wrogów.

Prócz Pieriewierziewa, który stanowił główny temat dyskusji, dostało się także i kilku innym krytykom, m. in. świeżo nawróconemu D. Mirskiemu, oraz jednemu z najbliższych uczniów Pieriewierziewa, Fochtowi. Temu ostatniemu nie powiodło się zwłaszcza w próbie sformułowania metody hadań rodzajów literackich w sposób, odbiegający nieco od stanowiska marxistów, według których każdy rodzaj literacki jest zjawiskiem związanym jak najściślej z pewną klasą i konkretną epoką historyczną, wskutek czego nie może być mowy np. o dziejach powieści w ogóle jako o rozwoju pewnych określonych chwytów literackich na przestrzeni całej historii literatury niezależnie od czasu i klasy.

W powyższej dyskusji uderza kilka zjawisk ogromnie znamienitych dla warunków, w których pracują uczeni sowieccy. Zastanawia przede wszystkim brak jakiegokolwiek granicy między nauką a polityką, literaturą a teoriami ekonomiczno-społecznymi. Każdy śmielszy sąd może być poczytany za sprzeciwienie się ideologii komunistycznej i antyrewolucyjną działalność na korzyść burżuazji i kapitalizmu. Zdaniem marxistów nie ma takiego zagadnienia w nauce o literaturze, które by w ten czy inny sposób nie łączyło się ze sprawami natury politycznej. Dla marxysty — powiada przewodniczący zebrań, Lifszyc — zagadnienie dyktatury proletariatu jest jak najściślej zespolone z każdym problemem historii literatury, choć by to była sprawa średniowiecznej powieści. Z tego też względu trudno dziwić się ekwipolności krytyków sowieckich w wyrażaniu się swych własnych sądów i odgraniczeniu się — jak od zadżumionych — od tych wszystkich, kogo dotknęła klątwa nieprawomyślności ze strony najbardziej miarodajnych krytyków „prawdziwego“ marxizmu. Pod tym względem nie ma żadnej istotnej różnicy między „neofitą“ Mirskim i dawnym „pieriewierzistą“ Fochtem, których położenie utrudnia ponadto brak jakiegokolwiek stałych zasad, najogólniej choćby informujących o kierunku oficjalnych tendencji w teorii i metodycie badań literackich. W rezultacie nigdy nie wiadomo, co zostanie uznane jako zgodne z duchem marxizmu, co zaś potępione jako jego „wulgaryzacja“ lub antymarxowskie, burżuazyjne, czy „mieńszewickie“ stanowisko. To, co wczoraj jeszcze nosiło aprobatę oficjalnej krytyki marxowskiej — już jutro może okazać się karygodną herezją polityczną. W warunkach takich nie pozostaje zatem nic innego, jak ograniczenie się do powtarzania i rozwijania wy-

powiedzi na temat literatury „wielkich klasyków“ socjalizmu: Marxa, Engelsa, Lenina i Stalina. Wątpliwe jednak, czy będą one — według słów Lukácsa — „kamieniem węgielnym“ marxowskiej nauki o literaturze, można by raczej przypuszczać, że staną się błędym kołem abstrakcyjnych, sztucznych konstrukcyj w rodzaju tej, jaką zawierał referat Lukácsa.

Bezpośrednim skutkiem tego niewolniczego ustosunkowania się krytyków sowieckich do wypowiedzi „wielkich klasyków marxizmu“ jest obracanie się w ciasnym kręgu tych samych tez i koncepcyj. Jako przykład można by tu przytoczyć artykuł Grinberga p. t. *Puti romana (Literaturnyj Souriemiennik, 1935 nr. 7)*, powtarzający wszystkie podstawowe tezy referatu Lukácsa i różniący się tylko doбором przykładów i szerszym nieco rozwinięciem tematu. W pewnym związku z zagadnieniami poruszonymi przez Lukácsa i Grinberga pozostaje także artykuł W. Szkolowskiego *Ob oczerkie i romanie (Literaturnyj Kritik, 1935 nr. 8)*, stanowiący część dłuższej rozprawy z zakresu historii powieści na tle jej związków z innymi rodzajami artystycznej prozy. Zawiera on dość pobieżny rzut oka na zależność powieści Balzaca od tradycji francuskich szkiców ohyeczajowo-opisowych.

CZEŚLAW ZGORZELSKI

PRZEGLĄD PRASY

HISPANIA — KRAJ NIEZNANY. Gazety codziennie informują o stanie działań wojennych wojsk powstańczych i rządowych oraz o sytuacji w kraju. Im więcej jednak tych informacji, tym trudniej się zorientować w charakterze tragicznej sytuacji na półwyspie pirenejskim. Okazuje się, że stosunki są tam niezwykle powiklane. Co więcej, okazuje się, że poszczególne ujmowania sytuacji jako walki dwóch frontów: faszystowskiego i komunistycznego jest zbyt uproszczone. Hiszpania jest krajem zupełnie nam nieznanym i ujmowanie jej kategoriami tak uproszczonymi jeszcze więcej mąci nasz sąd o niej. Na specyficzną rolę anarchizmu, tej sekty politycznej — trudno uważać anarchizm za kierunek polityczny i społeczny — zwracają uwagę: w *Kulturze*, nr 20, J. Bandrowski w artykule p. t. „Czarne standardy w Hiszpanii“ oraz M. J. Wielopolska w *Kurierze Porannym*, nr z dn. 23. VIII, w artykule p. t. „Słowo zettelle: anarchiści“. Pomieszenie najdziwniejsze najróżniejszych hasel i aspiracji politycznych, chaos ośrodkowych tendencji, niezrozumiały dla nas splót interesów i zagadnień — oto, jak się wydaje — cechy gorączki politycznej, panującej w Hiszpanii. Symplifikacja naszych pism, które sądzą, że zwycięstw jednej lub drugiej strony w Hiszpanii będzie gwarancją ład i spokoju takiego czy owakiego, jest prawdopodobnie nie-realna. Liczenie — w związku z tym zapatryowaniem — na to, że albo faszizm albo komunizm skorzysta na tym zwycięstwie, jest także oparte na kruchych podstawach. Jedno wydaje się nie ulegać wątpliwości, a mianowicie to, że zwycięstwo będzie tylko drugim etapem wojny domowej. Hiszpanię zaś czeka w najlepszym razie protektorat obcych państw. Że ona sama na tym protektoracie najgorzej wyjdzie, jest jasne dla każdego, kto

PRZYCZYNY znużenia szukać należy w produktach rozkładu komórek nerwowych, które zanieczyszczają swoje otoczenie. Jeżeli te produkty rozkładu skupiają się we krwi, to czujemy zmęczenie; gdy zaś ilość ich przekracza granicę fizjologiczną, wówczas sprzawdzają choroby (prof. A. Mosso).

rozumie znaczenie protektoratu politycznego. Prawdopodobnie w wyniku powstania Hiszpania straci resztę autonomii politycznej. Prasa codzienna, hipnotyzująca czytelnika uproszczeniami, angażująca go uczuciowo albo po jednej albo po drugiej stronie chaosu na półwyspie pirenejskim, nie przyczynia się nicestety do rozumnego stanowiska wobec hiszpańskich wypadków. Jak w swoim czasie w sprawie abisyńsko-włoskiej, nie daje i obecnie społeczeństwu nauki historycznego ujmowania zjawisk politycznych, ani umiejętności ujmowania zjawisk w kategoriach polskiej racji stanu.

SPRAWA CHŁOPA. Zagadnienie chłopstwa staje się coraz częściej tematem rozważań nie tylko w publicystyce politycznej, ale także literackiej, a nawet w literaturze naukowej i beletrystycznej. W ostatnich czasach szczególnie często porusza się to zagadnienie. Nie mówiąc już o książce Bystronia o kulturze ludowej, nie możemy przemilczeć licznych głosów pisarzy w tej sprawie. Szczególnie one są ważne, gdyż pisarze nie zadowalają się reportażowym przedstawieniem losów chłopstwa, ale starają się przedstawić istotę zagadnienia i konsekwencje polityczne i kulturalne, wynikające z obecnego stanu gospodarczego, kulturalnego i politycznego wsi. Chłop, odgrywający dotychczas w publicystyce dość drugorzędą rolę, zaczyna występować zgodnie z logiką ukształtowania społecznego na pierwszy plan. Jest to zjawisko normalne. Dobrze jest, że „wyższa“ publicystyka nie pomija tego zjawiska, lecz stara się je zanalizować w związku z jego znaczeniem dla całej kultury narodowej. Można się oczywiście zgadzać lub nie zgadzać na ten lub ów sąd pisarzy, niemniej zasługuje on na uwagę baczniejszą ze względu na powagę w traktowaniu zagadnienia. W ostatnim czasie należy zanotować głosy M. Dąbrowskiego w nr. 35 *Wiad. Lit.* i A. Góreckiego w *Marcholciu*. T. zw. literaturze chłopskiej poświęcił artykuł St. Pigoń (*Kurier Poznański*, nr 388). Prof. Pigoń zajmując się sprawozdaniem z działalności pism *Wies, jej pieśń i Nowa wieś. Nowa wieś*, reprezentująca skrajną lewicę, nie ma większego wpływu na wieś, tak samo jak nie ma jej dotychczas t. zw. „lewym frontem“. Prof. Pigoń charakteryzuje pismo jako reprezentację wpływu proletariatu robotniczego na wieś. Autor zadowolony z tym sprawozdaniem z działalności piśmi. Stąd artykuł jego ma znaczenie wyłącznie informacyjne. Niemniej artykuł dostatecznie wykazuje nonsens, tkwiący w zapatrywaniu, jakoby *Nowa Wieś* czy pokrewne jej *Ugory* były istotnym odhiciem aspiracji chłopskich, a nie zwykłym propagandowym pismem „lewego frontu“.

W. BAK

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pan S. G. w Białej Podlaskiej. — Nie skorzystamy.

Pan E. M. w Pińsku. — Nie wydrukujemy.

Pan J. S. w Warszawie. — Z artykułu *Polska przyszłości a wychowanie państwowe* nie skorzystamy.

Pan S. P. w Krościenku. — Nie skorzystamy.

Rękopisy nadesłane a nie przyjęte do druku redakcja zwraca jedynie w tym razie, jeżeli autor dołączy do rękopisu kopertę zaadresowaną do siebie i dostatecznie ofrankowaną.

ERRATUM. W poprzednim numerze *Pionu*, str. 7, szpata 3, w. 17 od dołu, należy czytać: K. W. Zawodzińskiego.



3.000 zł. NA NAGRODY W POSTACI 3.000 zł.

WYBORU NAJCENNIEJSZYCH KSIĄŻEK

(m. inn. dzieła Marszałka Piłsudskiego: *Pisma — Mowy — Rozkazy*)

BEZPŁATNYCH PRENUMERAT KWARTALNYCH PIONU I OPRAWNYCH ROCZNIKÓW PISMA

przeznaczylimy dla prenumeratorów i czytelników *Pionu*, którzy zjedną nam w miesiącu propagandy (od 1 do 30 września) nowego prenumeratora co najmniej na przeciąg jednego kwartału.

Warunki: Ubiegający się o nagrody winien zgłosić w Administracji *Pionu*:

- 1) dowód (odpis dowodu) opłacenia kwartalnej prenumeraty (5 zł.) przez zjednanego prenumeratora w okresie od 1 do 30 września 1936 r.
- 2) własne nazwisko i adres wraz z wzmianką „nagrada“.

Nagrody będą przyznane po zamknięciu miesiąca propagandy wszystkim biorącym udział w propagandzie.

Wykaz przyznanych nagród będzie zainteresowanym przesłany na żądanie.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., ½-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty — 60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastr. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.